

ROZDZIAŁ III

DZIAŁANIA ODDZIAŁU CZACHOWSKIEGO CZAS OD 8 DO 15 KWIETNIA 1863 r.

Uszedłszy traktem Lubelskim przeszło wiorstę, i zakrywszy się budynkami na prawo tegoż położonemi, poszedłem przez pola, ku traktowi skaryszewskiemu, a następnie kołując polami, doszedłem do wyznaczonego punktu zbornego. Tu zastałem wszystko i wszystkich w największym porządku.

Ponieważ nadchodziła godzina, o której dragoni z Radomia podjazd w tę stronę regularnie wykonywali, przeto udałem się do dworu, w celu uzyskania potrzebnych mi podwód, aby zaraz z ochotnikami jak najprędzej opuścić ten niebezpieczny punkt.

Dziedzica nie zastałem w domu. Wozu też ani jednego nie było na folwarku; gdyż wszystkie były już wysłane, za domem. Żona zaś tego posiadacza, tej właśnie nocy powiła syna. Dowiedziawszy się od służby, ta zacna Polka, że jestem we dworze i w jakim groźnym dla mnie i towarzyszków położeniu, kazała mię prosić do siebie. Po widzeniu się tem, dała mi zupełną wobec swej służby władzę, abym użył jakie uznam tylko za stosowne na folwarku i we wsi, wszelkich potrzebnych mi środków, dla uchronienia mnie i towarzyszy od popadnięcia w ręce moskiewskie. Złożywszy serdeczne za jej patriotyzm dzięki, oraz życzenia dla nowonarodzonego, który gdy przyszedł w tak ważnej dla narodu chwili, może kiedyś da Bóg, będzie mścicielem krzywd mu wyrządzonych, pożegnałem chorą, i udawszy się do stajen, gdym w tych zastał jeszcze kilka koni i trochę więcej wołów, rozkazałem sobie otworzyć gumna, a w nich wyszukawszy części składowe starych wozów i drabin, zarządziłem natychmiastowe złożenie wozów, i wyjechanie z temiż przez wrota gumien na pole w południowej stronie tych leżące, aby nikt we wsi ich wyjazdu ze dworu nie widział.

Powróciwszy do restauracji, dałem rozkaz otwarty do sąsiednich dworów, do wyprawienia ich natychmiastowego dalej, do punktu zbornego, który wyznaczyłem im po pod samemi lasami Iłżeckimi; natychmiast po dwóch a najwięcej trzech w kierunku różnych wsi, polami a niektórych nawet zwróciłem w prawo, ku pobliskiemu lasowi, i jako niby spacerujących dalej wyprawilem.

Za tymi wyprawilem podobnież część innych, w tym samym kierunku, ale już na wozach, do których pojedynczo doszli drożynami polnemi, z rozkazem otwartym do dworów, aby im wymieniły pociągi wołowe na końskie i pośpieszne do tegoż samego punktu dalej odstawiły.

Dopadliśmy szczęśliwie koło Skaryszewa do wsi . . . , dzierzawionej przez byłego oficera z r. 1831. Ten przyjął nas z otwartemi rękami i pragnął nas ugościć prawdziwie po staropolsku, tak natarczywie, że nie mogłem go na żaden sposób odwieść od tego. Szczęściem dla nas, że patriotyczny lud tej wsi, domyślając się jakich to pan jego ma gości u siebie, czuwał i dał znać natychmiast, gdy spostrzegł z daleka, że na trakcie od Skaryszewa zjawili się cwałujący kozacy. - Zerwaliśmy się od stołu, pożegnaliśmy gościnnego gospodarza, i w jednej chwili siedzieliśmy na bryczkach dzielnemi końmi zaprzężonemi. Pędziliśmy galopem do sąsiedniego lasu, a przeleciawszy takowy, dojechaliśmy galopem do folwarku K . . . gdzieśmy zastali znów podjazd, ale tą razą już

kawalerji Polskiej.

O ile na widok jej i barw narodowych, serce mi zabiło mocno w piersi, o tyle ścisnęło się, gdy zobaczyłem jakie to brewerje w tym dworze furazując zataczając się wyprawiała.

W jednej chwili skoczyłem jak z procy oburzony z bryczki, i postąpiwszy gwałtownie do oficera dowodzącego nią, oświadczyłem mu: że jadę ścigany przez kozaków; i pędzę dalej do obozu Czachowskiego z ochotnikami; złożę mu przeto raport jak to żołnierze polscy po za obozem jego sobie pozwalają.

Ten wysłuchawszy mnie, uśmiechnął się, mrugnął na mnie okiem, i odkomenderowawszy część swych kawalerzystów traktem ku Skaryszewu, kontynuował w najlepsze swe krzyki, wywijanie nad służbą dworską i oficjalistą nahajką i nakazywał na gwałt, ładować dalej: owies, ziarno i prowiant na wozy.

Ekonom, dziedzica tu bowiem nie było, podszedł ku mnie, a rzekłszy do mnie wobec swej służby:

- Biorę Pana na świadka, co to tu z nami wyrabiają - poprosił nas w gościnę do domu.

Tu dopiero dowiedziałem się, że te brewerje i to niby upicie się kawalerzystów i ich dowódcy, i ten niby opór ekonomy - były tylko komedją, potrzebną wobec służby, dla oka Moskala i że to był podjazd oddziału Kononowicza¹⁶.

Gościliśmy tu serdecznie podejmowani niedługo, bo wpadł konny posłaniec donosząc, że Moskale od Zwolenia weszli w tej chwili do Iłży, a zatem na linię naszej dalszej drogi, do lasów Iłżeckich i to w dość znacznej sile piechoty i kawalerji. Do tej zaś było zaledwie dobre pół mili. Wyjechaliśmy też z folwarku natychmiast; podążyłem do punktu zbornego, którym był dom leśnego wśród łąk, niedaleko samej puszczy.

Gdyśmy zmrokiem polami a następnie dość wilgotnymi łąkami do tegoż, od strony gdzie żadna droga do niego nie prowadziła, podjechali: stary gajowy rządowy a wysłużony, prawie kaleka inwalid, wyszedł na przeciw nas, powitał chlebem i solą, ofiarowaniami nam szczerze, lecz językiem tak popsutym, że więci po moskiewsku niż po polsku brzmiał. Był to żołnierz polski z r. 1831, lecz tak złamany długą niewolą straszną, tak na ciele i umyśle, że nikt by, gdyby sam się z tem nie oświadczył, ani śladu jego przeszłości w nim nie dostrzegł i nie odszukał. Goszcząc nas wszystkich, gdyż i drudzy już przybyli, solą, chlebem, śledziem i trochę wódki, w którą się zaopatrzył, na nasze przybycie - opowiedział on nam z boleścią swe straszne dzieje, odbytej niewoli w carskiej służbie; ponoszonych w niej katuszy i upokorzeń, i gorąco wzywał Boga, by Ojczyzna wskrzeszoną została.

Pożegnaliśmy najserdeczniej wszyscy tę nieszczęśliwą ofiarę moskiewskiego despotyzmu, którą na samym wstępie w nowe nasze życie los nam na naszej drodze postawił. Poprzysięgliśmy leż głośno, wysłuchawszy jego straszego opowiadania raczej paść z bronią w rękę za kraj i wiarę, aniżeli być na podobne co on przejścia narażonymi.

Mimo gęstej ciemności nocy, jaka już zapadła postępowaliśmy i szczęśliwie na drogę, w głąb lasów wiodącą wyjechaliśmy. Jadąc dalej, ujrzelśmy trzy silne łuny, a te według udzielonej informacji przez gajowego, były obozami naszymi: dwie bardzo blisko od siebie, a trzecią znacznie słabszą, jakby znacznie dalszą, za poprzednimi, trochę w bok na firmamencie niebieskim, nad ciemnym tłem pobliskich już borów, wysoko się

¹⁶ Kononowicz Władysław (1820 – 1863), doświadczenie wojskowe zdobył na Kaukazie. Trudno ustalić w jakich okolicznościach przeszedł na stronę partyzantów. Stracony w Warce w czerwcu 1863 roku.

po nad temiż odbijające.

Naraz droga raptownie skręciła się i dostrzegliśmy niedaleko już od siebie jakąś lichą karczemkę z której okienek maleńkich i zabrudzonych dość silne światło biło; usłyszeliśmy jakiś gwar tłumny a przy płocie, kilkanaście przywiązanych koni wierzchowych, widocznie do wojskowych należących, ale bez żadnej straży przy nich.

Zatrzymałem wozy, kazałem pookręcać słomą koła; wysiedliśmy, i zasłonięci cieniem wozów wraz z temiż, noga za nogą postępującymi, przycisnęliśmy się obok rzezonej karczmy, nie widząc nikogo na zewnątrz. Gdyśmy, opisanym wyżej sposobem ujechali przeszło sto kroków po za karczmę, wskoczyliśmy na wozy i pogalopowaliśmy dalej, o jakie jeszcze tysiąc kroków.

Tu w ciemności rozległ się silny głos: «Stój! Bo strzelę! Kto jedzie?»

A gdy się dowiedział, że jesteśmy ochotnicy, rzekł:

- Niech jeździe jeden z was z wozu, i bez broni do mnie podejdzie.

Uczyniłem zadość temu wezwaniu, a gdy postąpił naprzód około kilkadziesiąt kroków, spotkałem się ze strzelcem, trzymającym wymierzoną ku mnie dubeltówkę; tuż obok stał kosynjer ze swą straszną bronią do ataku, ku mnie skierowaną.

- Kto panowie jesteście? - Imię i nazwisko? - Do którego obozu panowie dążycie, kogo w nim macie znajomego? - posypały się jedne za drugimi, do mnie powyższe pytania. A gdy je zaspokoił, dopiero opuścili swą broń, i serdecznie podając mi swą dłoń, rzekł strzelec wesołym głosem:

- Witamy was nowi nasi koledzy! Niech żyje Ojczyzna! Skoro dla niej serca i po za naszemi obozami biją i ciągną do nas, na dalszą za jej wolność walkę. Zsiadajcież teraz wszyscy, panowie a wozy niech idą noga za nogą, aby przewieść was przez topiel, jaką przebyć będziecie musieli; bo niebezpiecznie to dla was byłoby na pierwszą noc powstańczę zbyt się w niej zamoczyć. Jutro gotowy byłby katar... A kto wie, czy na toż już nasz ojciec, nie dostarczy nam jakiej roboty...

A obróciwszy się do kosynjera, dodał:

- Ty zaś, stary kolego, odprowadź miłych naszych gości do następnej wedety.

Co paręset kroków postępując naprzód zatrzymywani byliśmy w podobny sposób, lecz już krócej; gdyż towarzyszący nam kosynjer załatwiał wymagane za nas formalności.

Przeprowadzani, minęliśmy na tej drodze kilka ustawionych wedet.

Następnie wprowadzono nas na nową drogę, w lewo prostopadłe do dawnej z niej wychodzącej, a dążącą już do wnętrza puszczy Iłżeckiej. Minęliśmy znów kilka wedet, na nowej drodze, skrupulatnie swą służbę pełniących, i już z dala zaczęły się przebijać ognie obozu, po za olbrzymimi pniami drzew gdzie niegdzie migające. Towarzyszący nam ostatni kosynjer, huknął silnie:

- Dawać światła! - a do nas - zatrzymajcie się koledzy, bo tu zaczyna się topiel.

- A na co światła? - brzmiała odpowiedź z przeciwnej strony topieli.

- Czterdziestu trzech ochotników z Radomia do naszego obozu przybywa, - wyrzekł wesoło nasz przewodnik.

- Świecić! świecić! - powtarzano za topielą.

Za chwilę kilkunastu powstańców z łuczywa mi płonącymi jak pochodnie, skacząc z kępy na kępę na około pojedynczych drzew po obu bokach drogi, przez moczar wiodącej, oświetliło nam takową jakby w tryumfie; gdy biedne koniska po brzuchy a wozy po szynkle grzęznąć w niej, szczęśliwie choć z wielką biedą, przebrnąwszy dostały

się na twardy grunt. W obozie mnóstwo na przeciw nas wyległo, - zwłaszcza z Radomia i bliskiej jego okolicy.

Powitaniom i dopytywaniom się końca nie było, te zaś odbywały się półgłosem; gdyż Czachowski na rozciągniętej derce, podłożywszy siodło i rękę na to pod głowę, nakryty burką w pełnym swem ubraniu, smacznie a głęboko spoczywał.

Nadzwyczajne wrażenie wywarł na mnie widok tego obozowiska wiernych synów ojczyzny, niosących w ofierze za jej wolność własne swe życie i mienie; narażających się na okrutne barbarzyństwo dzikiego i ciemnego wroga i szyderstwa a naigrawania się nikczemnych własnych braci, wyrodków i zdrajców, nieprzyjaciół własnego kraju a stronników wroga.

Te niebotyczne drzewa, w pośród których w wolnych pomiędzy temiż odstępach porozkładano ogniska, płonące różnobarwilem a ciągle migocącem się światłem, oświecającem je od samego ich spodu aż do ich ku niebiosom wzniesionych szczytów, były urocze. Te postacie, leżące i odpoczywające w różnych pozach na obfitej a wilgotnej leśnej murawie, inne przechadzające się wspólnie i po cichu gwarzące, inne znowu miarowym krokiem wchodzące lub wychodzące z obozu, inne jeszcze śpiące na wilgotnym leśnym pośłaniu, tak głęboko a smacznie, jak może na najwygodniejszej pościeli nigdy im w życiu, dotąd nie przytrafiło; ten zresztą bohaterski starzec wódz, nad którego snem czuwały setki ócz - przedstawiało to wspaniały a nader rzewny swojski obraz. U wszystkich, mimo że ogromną większość stanowiła sama młodzież, mars osiadł na czole; determinacja i zadowolenie z siebie widniały w wyrazie twarzy, choć powierzchowność ich więcej wyglądała na cyganów niż na ludzi tutejszokrajowych, tak obszarpani i zabrudzeni byli. Całą oznaką, że to był obóz wojskowy, stanowiły: wedety, podjazdy, patrole, raporta, oraz że każdy był zupełnie od stóp do głów ubrany i odpowiednio do swego przeznaczenia i możliwości zawsze uzbrojony. Spokój i cisza były uderzające, w stosunku do licznie nagromadzonej tu zwykle gwarliwej młodzieży, a to tem więcej, że i obóz pułkownika Kononowicza zaledwo o jakie paręset kroków w lewo od obozu Czachowskiego leżał.

Uprosiłem mego oficera, aby nie budził głęboko uspiętego wodza, do którego nas przyprowadzili znajomi i dawni przyjaciele; gdyż nie przynoszę z sobą żadnej takiej wiadomości, dla której koniecznym by było, przerywać tak pożądaną dla jego późnego wieku, silny a widocznie pokrzepiający sen.

Mnie zabrali z sobą oficerowie powstańczy, którzy do tego wyszli z Radomia a głównie: Tomasz Burzyński¹⁷, były kancelista z bióra naczelnika powiatu Radomskiego, obecny intendent oddziału Czachowskiego, major powstańczy z nominacji Langiewicza, a późniejszy Dyrektor spraw wewnętrznych i policji w ostatnim Rządzie Narodowym, skazany przez Moskali na całe życie do katorżnych robót w kopalniach Nerczyńskich; młody wówczas, bo zaledwie dwadzieścia i parę lat wieku liczyć mogący, a wielki mój przyjaciel admirał, z tytułu żem był znacznie od niego starszy wiekiem, zajmował dotąd w urzędowaniu rangę wyższą, a równie z nim kraj swój kochałem i szczęścia tegoż pragnąłem.

¹⁷ Tomasz Burzyński (1834 – 1904), student prawa w Kijowie. Wczesnie związał się z organizacją spiskową. Zesłany na Syberię. O zaangażowaniu urzędników z guberni radomskiej w manifestacje religijno-patriotyczne i udział w powstaniu zob. W. Caban, *Urzednicy administracji państwowej a powstanie styczniowe (na przykładzie guberni radomskiej)*, w: *Inteligencja polska XIX – XX wieku*, pod red. R. Czepulis-Rastenis, t. 5, Warszawa 1987, s. 145-172.

Gdy mnie wraz z dwoma towarzyszami, więcej wykształconymi kolegami, do swego stanowiska przyprowadził, ujrzałem leżącego koło ogniska na murawie, na dłoni wspartego, obok w podobnejże pozie spoczywającego, widocznie oficera powstańczego, rozmawiającego oficera moskiewskiego, w zupełnym ubraniu, z epoletami kapitana Smoleńskiego pułku, i uzbrojeniu, a którego głowę okrywała konfederatka niebieska aksamitna z białym barankowym lampasem, przyozdobiona oficerską powstańczą amarantową na białym tle rozetą, w której na czerwonym polu widniał srebrny, biały orzeł polski. Był to mężczyzna średniego wzrostu, krępej lecz zgrabnej figury, blondyn z niebieskimi oczyma, z pięknym wąsem, nadzwyczaj przystojny i ku sobie pociągający, choć z silnym marsowym wyrazem na twarzy, uwydatniającej prawdziwie męską determinacją, a mogący mieć najwyżej lat 38 wieku. Burzyński przystąpił do opisanego oficera i wymówił:

- Przedstawiam ci, kapitanie Grzmot¹⁸ - tu wymienił me imię i nazwisko oraz byłe stanowisko w urzędzie.

Po paru słowach wymiany grzeczności i zdań przyklęknąłem na murawie, uściśnawszy serdecznie tego bohaterskiego patrioty Polaka rękę, nachyliłem się do jego ucha i rzekłem:

- I ja cię serdecznie witam, kapitanie Dobrogojski !...

Jakby iskrą elektryczną tknięty, zerwał się Grzmot z ziemi, stanął na równe nogi, i utkwivszy przenikliwy swój wzrok we mnie, rzekł:

- Skąd pan wiesz jak się w świecie nazywałem?

Nachyliłem się do jego ucha i odpowiedziałem:

- Koledzy i przyjaciele serdeczni twoi, oficerowie wojsk rosyjskich, a również przyjaciele moi, pozdrawiają cię przezemnie.

Tu wymieniłem mu, ciągle do ucha, ich imiona, nazwiska i zajmowane przez nich stopnie wojskowe.

Zaledwie to wysłuchał, chwycił mię w objęcia i uściśkał serdecznie. Poprzysięgliśmy sobie dożgonną przyjaźń. Obecni tej scenie inni oficerowie oddziału, podali mi swe ręce i zainstalowali w swem kole. Przedstawiłem im następnie moich towarzyszy, świeżo przybyłych. Powitali ich również serdecznie.

I zaledwie wstąpiliśmy w obóz powstańczy, w jednej chwili już mieliśmy pełno przyjaciół jakby od Bóg wie jak dawno znajomych.

Pełno serc do wspólnej w obec wroga obrony i pomocy. A sprawiło to jednakowe bicie ich w piersiach naszych, dla świętej sprawy wyzwolenia nieszczęśliwego naszego narodu z pod straszego ucisku najeźdźców.

W tej samej chwili, herbata już gotowana przy ogniu tam w garczkach na posilenie nas po podróży, została nam podana; bo do jedzenia nic sami ci ofiarnicy nie posiadali. Wzajemnie posiliłem ich, siebie i towarzyszy moich, przywiezionym z sobą buljonem

Widząc na wielu z nich brak czystej a nawet u niektórych tylko ślady bielizny, błagając ich, zmuszałem do rozebrania i rozdzielenia pomiędzy najpotrzebniejszych, zabranej z sobą do obozu mej własnej; miałem zaś wówczas jak na kawalera, bardzo

¹⁸ Kpt Stanisław Dobrogojski (Grzmot) stał na czele grupy oficerów służących w garnizonie kieleckim. Miał odegrać ważną rolę w czasie planowanego ataku na garnizon kielecki przez Apolinarego Kurowskiego w noc styczniową. Wcześniej jednakże Dobrogojski na czele swego oddziału otrzymał polecenie przeniesienia się do Waśniowa. Ostatecznie pod koniec marca podjął decyzję o przyłączeniu się do oddziału Czachowskiego.

sporo. Toż samo uczyniłem i z zabraną częścią mojej garderoby.

Zostawiłem sobie tylko algierkę bobrową, bo trzymały mocne zimna, śnieg czasami pruszyła przymrozki, zwłaszcza w nocy i nad ranem, dość jeszcze silne panowały; ubranie i bieliznę razem z wiktuałami musiałem dźwigać na sobie w tornistrze.

Obok piechoty stała kawalerja Czachowskiego. Gdy oficerowie jej dowiedzieli się o przybyciu licznem na raz ochotników do oddziału, a byli to właśnie dawni bardzo moi koledzy i przyjaciele, bo niektórzy z nich jeszcze nawet z ław szkolnych, pospieszyli do naszego ogniska, a serdecznym powitaniem i uściskom, zdawało się, że nie będzie końca.

Zjawiły się u nich rozłożone na murawie: pieczeń cielęca, wędliny, chleb, nawet ser, masło i na twardo gotowane jaja, a w dodatku butelka rumu i parę butelek wina. Serdeczna też wesołości bardzo ożywiona rozmowa między nami zapanowała, i przeciągnęła się do północy.

Poczcivi oficerowie kawaleryjscy, chcąc mię uchronić jako rekonwalescenta i świeżo rozpoczynającego życie obozowe, tej pierwszej mocno zimnej a zarazem wilgotnej nocy, podzielili się ze mną: jeden dał swój czaprak, inni zaś siodło pod głowę, na którym położyłem jeszcze mój tornister; usłali mi tym sposobem zbyt wygodne jak dla powstańca łożo na matce ziemi, którą piersiami swemi i życiem odtąd osłaniać miałem.

Oddawszy sobie dobranoc, już przy prawie całym w mocnym śnie pogrążonym obozie, i gdzie niegdzie jeszcze tylko dopalających się ogniskach, rozpocząłem serdeczną rozmowę z Panem Wszechświata, zanosilem modły: o wyzwolenie mej drogiej Ojczyzny i moich spółbraci z tego straszego ucisku wroga, ofiarując Mu w zamian moje własne życie. Nie przypominam sobie, abym kiedy wcześniej lub później po tej chwili, tak był mocno i do głębi przejęty modlitwą. Zakończywszy moje modły słowami Zbawiciela: „Lecz Ojczy nie moja, ale Twoja święta niech się spełni wola», natychmiast silnie usnąłem.

Gwar budzące się ze snu obozu i mnie rozbudził. Otworzyłem oczy, szaro było na niebie a prawie ciemno jeszcze w puszczy.

Widząc, że inni już około siebie i koni się krzątają, zerwałem się i ja na równe nogi.

Witającym mnie i dopytującym się przyjaciółom, jak się czuję po tej pierwszej nocy przespanej na ziemi i pod gołym niebem? - odpowiedziałem, że czuję się jakby odmłodzonym i na siłach pokrzepionym.

Udałem się natychmiast do potoku, a dopełniwszy nad nim swego rannego umywania się, uczułem się jeszcze rzeświejszym.

W tej chwili zawezwano mnie, wraz z przybyłymi ze mną ochotnikami, do stawienia się przed wodzem. Udaliśmy się wszyscy razem.

Ujrzeliśmy Czachowskiego, siedzącego na kłodzie, w swym sławnym krótkim kożuszkę baranim, takichże szarawarach, juchtowych butach i czarnej z lampasami podobnejże barwy z baranków konfederatce. Przez ramię i piersi miał przewieszoną szeroką amarantową na białym tle szarfę. Przy boku kawaleryjski pałasz. Na plecach spoczywała u niego dubeltówka wyborna. Na smyczy przez szyję, ze sznurów zielonych zrobionej, wisały w futerałach, przyczepionych do szerokiego pasa rzemiennego z wielką klamrą na przodzie, na której widniał orzeł biały, dwa rewolwery. Zza cholewy prawego buta wyglądała rękojeść schowanej tam a nigdy nieodłącznej, sławnej jego napajki kozackiej.

Oficerowie stali za nim po obydwóch bokach.

Powitał nas serdecznie, odpowiadając na szczerzy nasz okrzyk:

- Niech żyje nasz wódz!

Przedstawiłem siebie i towarzyszy, wymieniając nazwiska, oraz stan każdego z nas. Oddałem następnie do dyspozycji jego przyniesione przez nas trochę uzbrojenia i amunicji. Ochotników zaraz rozdzielił, dając każdemu z nich odpowiednie przeznaczenie. Dla braku palnej broni, najczęściej wcielono ich do kosynjerów. Dwóch zaś moich towarzyszy z inteligencji przeznaczył: jednego do kosynjerów a drugiego do strzelców.

Gdyśmy zostali sami z oficerami, zakomunikowałem mu wiadomość od organizacji, z Radomia, jego oddziału dotyczące; zawiadomiłem, że Uszaków¹⁹ na doniesienie szpiegów, o zjawieniu się oddziału jego z powrotem w Sandomierskiem, wyprawił pułkownika Dobrowolskiego²⁰ z dwoma bataljonami piechoty, odpowiednią kawalerją i artylerią, i że ten zrobiwszy z nimi kilkudniowy marsz po lasach od Szydłowca, przez Wąchock, Brody, Ostrowiec, Grabowiec, Iłżę, Zwoleń, powrócił do Radomia i złożył raport, że nie powziął nigdzie nawet wiadomości o istnieniu jego oddziału. Kolumna zaś moskiewska, wchodząc z powrotem do Radomia ze śpiewami i skokami, naśladowała niby bijących się powstańców a chwytających się to za nogi, to za ręce, boki i różne części swego ciała i wrzeszczących w niebogłoty, jednocześnie zmierzając się bronią do wystrzału na przechodzącą ulicą tą ludność. Rozśmiali się wszyscy, oświadczając, że gdy ta kolumna, o tak przeważających siłach, pośpiesznie traktem przez puszcę Iłżecką się przesuwała, to oddział Czachowskiego, znacznie wtedy jeszcze szczuplejszy i gorzej uzbrojony, przypatrywał się spoza drzew jej trwożnej przed sobą defiladzie.

Zawiadomiłem następnie dowódcę, że na tydzień przed tem przybył do Radomia pułkownik Klewcow, który 20 lat już poprzednio walczył na Kaukazie wraz z pułkiem świeżo sprowadzonych z Rosji, do Królestwa, dragonów. Że zawezwany z Kaukazu do Petersburga, jako doświadczony partyzant dał słowo Carowi, że w miesiąc uśmierzy powstanie w Polsce. Żądał tylko, aby mu dozwolono z dwóch dywizji piechoty, konsystujących w województwach Sandomierskiem, Krakowskiem i Kaliskiem oraz przydzielonej do tych jazdy, wybrać sobie na ochotnika z nich: 1200 strzelców, 300 dragonów, 200 kozaków, 1700 razem ludzi. A sformowawszy z nich, tak zwany ruchomą lotną kolumnę, działającą zupełnie niezależnie od innych oddziałów moskiewskich, rozłożonych na załogach powojów. Sandomierskiem jako głównem ognisku powstania ma prawo wzywać je do pomocy na wszystkie strony; będzie palił miasta i wsie; rznął ludność, bez względu na stan tej wiek i płeć; każe obrzynać niewiastom piersi i żywoty rozpruwać a musi dotrzymać danego słowa bezdusznemu despocie. Dodałem dalej, że przy przeglądzie, przez Uszakowa i na manewrach wobec tego dokonanych, przypatrywałem się dobrze temu barbarzyńcy i przyprowadzonej przez niego dziczy. Wszyscy to starzy, wytresowani wielce żołnierze. Konie mają wyborowe, trochę tylko za ciężkie. Od chwili przybycia do Radomia, dragoni ci, dwa razy każdego dnia ćwiczeni są po za miastem w manewrowaniu z ogniem. Połowa ludzi i koni tego pułku stoi zawsze w

¹⁹ Gen. Aleksander Uszakow, naczelnik wojenny guberni radomskiej.

²⁰ Włodzimierz Dobrowolski (1834 – 1877), Polak, pułkownik, szef sztabu gen Uszakowa a zarazem jego zięć. Wokół jego postawy w czasie Powstania Styczniowego trwają dyskusje. Zob. W. Dąbkowski, *Sprawa pułkownika Włodzimierza Dobrowolskiego*, „Przegląd Historyczny”, t. 81, 1990(1991), z. 34, s. 507-535.

pogotowiu do wymarszu. Druga zaś połowa odpoczywa w zupełnym ubraniu. Ludzie i konie karmieni są obficie. Wysłuchawszy tego i innych tajnych sprawozdań, zapytał się mnie Czachowski.

- A cóż tam w Radomiu mówią o sposobie prowadzenia dotąd powstania?

Odpowiedziałem mu otwarcie na to, krytykując działanie Langiewicza i zamykając w następujących słowach.

Ogólne przekonanie, tak patryotów Polaków jak i oficerów rosyjskich, którzy dotąd sprzyjali sprawie wolności naszej Ojczyzny, jest jako Maryan Langiewicz, nie mając ani uzbrojonych, ani wyćwiczonych, ani ostrzelanych żołnierzy, ani amunicji, ani dział, ani dostatecznej ilości odpowiednich oficerów, a nawet instruktorów dla tych, bez przysposobienia należytych a koniecznych środków do tego, zaczął się bawić w regularną armię; i według zasad tej chciał prowadzić zaraz z samego początku nasze powstanie przez co je zwichnął; ogłoszeniem zaś dyktatury, dobił takowe fizycznie i moralnie.

W miarę odpowiedzi, śledziłem bacznie wyraz twarzy Czachowskiego i jego oficerów; zauważyłem, że ta u niego coraz więcej zadumą smutną, tamtych zaś pomieszaniem się okrywały; jeden tylko Grzmot patrzył mi w oczy wesoło a serdecznie.

- No, więc jakże ci, co krytykowali, prowadziliby nasze powstanie? - wyrzekł dość ostro Czachowski, gdy skończył moją odpowiedź.

Opowiedziałem na to śmiało i otwarcie pogląd oparty na zasadach partyzantki Czerkiesów, broniących swej ojczyzny tak długo przed najazdem dziczy moskiewskiej, a zastosowany do terenu i położenia naszego, podając takowy, jako zdanie wyższego dowódcy moskiewskiego, z walką partyzancką dobrze obznajomionego.

Czachowski podumał chwilę jeszcze smutniej, wasy opuścił. Naraz powstał raptownie a pokręcając swego zawieszistego wasa i gładząc brodę, wyrzekł:

- Według rozporządzenia Rządu Narodowego, należy ci się kolego u nas stopień wyższy jakiś posiadał u rządu Moskiewskiego; ale dziś mam wszystkie komendy obsadzone. Oto i kapitan Grzmot, dla tego do dziś jest u nas bez komendy; musisz więc i ty na to poczekać.

- Ojcie - odpowiedziałem - ja nie przyszedłem tu dla awansu lub tytułu - i tak zakończyłem - proszę Cię przeto, przyjmij mnie jako wolontariusza do strzelców swoich i zostaw mi tylko wolność stawania w czasie bitwy, tam gdzie będę uważał za odpowiednie, w celu obznajomienia się z rodzajem i sposobem, prowadzonej tu walki z wrogiem.

- Dobrze! - odpowiada na to uśmiechnięty Czachowski, i zwracając się raptem do adjutanta, Jana Hr. Wielhorskiego²¹ z Pogłódowa, wyrzekł - jest tam jeszcze jeden sztuciec belgijski wolny, do rozporządzenia, niech go tu podadzą. - Sztuciec żądany, gdy przyniesiono; podał mi, mówiąc - trzydzieści tylko sztuk posiadam wybornej tej broni, niech Ci więc służy! W marszu będziesz jako wolontariusz postępował przy mojej kompanji strzelców, dowodzonej przez kapitana Ludwika Michalskiego²².

- Ojcie! mam prośbę jeszcze do ciebie - odpowiadam - skoro na cały oddział jest tylko 30 sztuk tak doborowej broni, a ja myśliwym dotąd więcej z półmiska niż z

²¹ Możliwe, że chodzi o potomka Józefa hr. Wielhorskiego (właściciela Rusinowa i Krasnej), który miał duże zasługi dla rozwoju górnictwa i hutnictwa w Staropolskim Zagłębiu (Okreg Wschodni) w połowie XIX wieku.

²² Kpt Michalski Ludwik, garibaldczyk, walczył później pod rozkazami Bosaka w stopniu majora.

powołania byłem, zrzekam się nawet i tego przeto wyszczególnienia na rzecz lepszego od siebie strzelca.

Zezwolił Czachowski i na to, coś do oficerów mrugnawszy. Podano mi dubeltówkę, ale bardzo lichą.

- Choćby mi przyszło bić się tylko kolbą- rzekłem biorąc broń - to mam nadzieję, że wkrótce Moskale wymienią mi tę broń na lepszą.

- Dopomóż ci Boże! - dodał stary wódz, i wraz z oficerami niektórym i zaprosił mnie do siebie, gdzie przy ognisku uczęstował gorącą herbatą i polewką winną.

Szef sztabu, Eminowicz, szepnął coś Czachowskiemu. Ten zaś wziął mnie na stronę i badał: czy nie znam czasem niejakiegoś policjanta z Radomia, który w kilka godzin, po przybyciu swoim do obozu, przez wedety przytrzymany na tych i odstawiony został, wraz z dwoma dubeltówkami, ostro kulami nabitemi, które miał na sobie, i podaje się za ochotnika dążącego do oddziału. Poprosiłem, aby mi go z daleka pokazano. Eminowicz poprowadził i ukazał mi rzeczzonego policjanta. Oświadczyłem wtedy, poznawszy go, że dotąd był on największym prześladowcą i tropicielem wszystkich objawów patryjotycznych. Radziłem przeto, aby nie okazywać mu nieufności, lecz swoją drogą najsilniejszy nadzór nad wszelkimi jego krokami i ruchami rozciągnąć; gdyż nie mogę wpaść na żadną rozsądną myśl, któraby tak raptowną zmianę w przekonaniach i pojęciach jego spowodować mogła.

Dzień się zaledwie rozjaśniać począł, a byliśmy wszyscy już na wymarszu z tego obozowiska naszego, przy północno zachodnim krańcu puszczy Hłeczkiej a przez nas Podlipiem nazywanego, i podążyliśmy z niego w kierunku południowym, trochę ku wschodowi.

Oddział Czachowskiego w tym dniu, już z przyprowadzonymi przeze mnie ochotnikami i innymi towarzyszami, nie dochodził jeszcze 400 ludzi i liczył: 50, zaledwie uzbrojonych w karabiny moskiewskie i sztucce belgijskie; 120, uzbrojonych w dubeltówki tylko i pojedynki, bez bagnetów

Żaden z powyższych ani pałasza, ani pistoletów nie posiadał. A wiele sztuk broni myśliwskiej było sznurkami powiązanych, do tego z poszczerbionymi i pogiętymi lufami i uszkodzonymi brandkami i zamkami.

- 150 kosynjerów, tylko w tę jedną broń uzbrojonych; 53 kawalerzystów, uzbrojonych w lance, dubeltówek trochę, reszta zaś pojedynki lub samych pistoletów tylko, a wszystkich w pałasze kawalerskie; 16 oficerów, wliczając już w tę liczbę: dowódcę, szefa sztabu, adjutanta, majora i intendenta, wszystkich uzbrojonych w dubeltówki, rewolwery i pałasze, z tych 7 towarzyszyło oddziałowi konno. Ogółem 389 powstańców.

Oddział powyższy na czele kolumny maszerował. Tuż za nim, w zupełnym związku taktycznym, postępował oddział pułkownika Kononowicza, przybyły przed paru dniami do puszczy z lasów Kozienickich na wezwanie Czachowskiego jako naczelnika wojennego Województwa²³. Oddział ten liczył: 80, z bronią bagnetową, belgijską i moskiewską; 160 z bronią myśliwską, z dubeltówek i pojedynki złożoną; 200 kosynjerów; 80 kawalerzystów i 26 oficerów: 546 ogółem, zupełnie tak samo uzbrojonych jak w oddziale Czachowskiego, tylko że karności tak ścisłej tu nie widziałem.

²³ Mylnie: Płk Dionizy Czachowski nominację na naczelnika województwa sandomierskiego otrzymał rozkazem dzienny Rządu Narodowego z 20 kwietnia 1863 roku.

Kompanja imienia Czachowskiego, do której przydzielony zostałem, postępowała w awangardzie kolumny. Maszerowałem przed pierwszą rotą a obok mnie postępowali kapitanowie: Grzmot i Michalski.

Ludwik Michalski był oficerem Garibaldowskim; krótko z nim byłem, więc bliższych szczegółów o nim podać nie mogę, prócz że poznałem w nim dzielnego i przytomnego oficera, zimną krew, wykształcenie, serce patriotyczne i znajomość służby wojskowej posiadającego. Kapitan Grzmot (Stanisław Dobrogojski) był synem owego majora Dobrogojskiego, który wspólnie z majorami Łukasińskim i Dobrzyckim przed r. 1830 z rozkazu W. Ks. Konstantego Pawłowicza²⁴ w Zamościu był sądzony i katowany; a jego, car Mikołaj, jako dziecko, kazał oddać do małego korpusu kadetów. Ukończywszy szkoły wojskowe, Stanisław Dobrogojski, wyszedł na oficera piechoty, nie znając nawet mowy ojczystej i nie wiedząc prawie, że jest Polakiem. Jako odznaczającego się zdolnościami i stopniami naukowymi, po dwóch latach odbytej służby w armii, wstąpił do akademii wojennej, którą chlubnie ukończył. Po wojnie wschodniej z lat 1853/6, w której uczestniczył, został wysłany zagranicę, dla zbadania ulepszeń w broni i taktyce oraz strategii; głównie zaś miał poleconem sobie, zwracać uwagę na służbę strzelców w innych armiach. Za powrotem, złożył odpowiedni memorjał i projekt ustawy oraz regulaminu nowego.

Projekt ten został zatwierdzony przez cara jako obowiązujący dla całej armii moskiewskiej.

Jarosław Dąbrowski²⁵, Zygmunt Sierakowski²⁶, Padlewski²⁷ i on wraz z kilkoma jeszcze innymi, byli duszą patriotycznego związku oficerów moskiewskich, pracującego dla sprawy wolności Polski i Rosji, a do którego należało mnóstwo rodowitych Moskali, czujących, że tą drogą tylko mogą złamać straszny despotyzm azjatycki swych carów. On²⁸ to był autorem kursujących pomiędzy wojskiem odezw Smoleńszczan do Kostromców i odwrotnie, objaśniających o własnościach carskiego powyższego despotyzmu, ich własnej niewoli, dążności Polaków do odzyskania wydartych im Boskich i ludzkich praw, i wskazujących siłę dostateczną jaką samo w sobie posiada, aby straszną swą dolę własną zmienić, wolność własnej ojczyźnie i braciom przez carów zagrabioną przywrócić. Przed r. 1863 dowodził już bataljonem Smoleńskiego pułku, będąc znacznie wcześniej przedstawionym do awansu na majora. Posiadał trzy ordery wojskowe: ś. Jerzego, ś. Włodzimierza i ś. Anny. Uwielbiany był przez Czengierego, oficerów i żołnierzy. Nawet sługa, <<dięszczyk>>, był tak do niego przywiązany, że w ślad za panem poszedł do powstania.

W marszu, Czachowski, wciąż od awangardy do arjergardy i odwrotnieprzejeżdżał, dając ciągle bacność na postawę i zachowanie się oficerów i żołnierzy, ucząc i

²⁴ Wielki książę Konstanty Pawłowicz (1779 – 1831), naczelny dowódca wojsk Królestwa Polskiego.

²⁵ Jarosław Dąbrowski (1836 – 1871), aktywny działacz Koła Oficerów. Autor planu ataku na twierdzę Modlin. Aresztowany i zesłany na Syberię. Po ucieczce znalazł się we Francji. Zginął na barykadach Komuny Paryskiej.

²⁶ Zygmunt Sierakowski (1827 – 1863, członek Koła Oficerów. Wystąpił z armii i stanął na czele powstania na Litwie. Rozstrzelany w Wilnie.

²⁷ Zygmunt Padlewski (1836 – 1863), działacz Koła Oficerów. W powstaniu naczelnik wojskowy województwa płockiego. Rozstrzelany w Płocku (15 V 1863).

²⁸ Mamy tu do czynienia ze swoistego rodzaju skrótem myślowym. W tym momencie Drażkiewicz charakteryzuje Włodzimierza Dobrowolskiego, który przed wybuchem powstania należał do grupy oficerów spiskujących.

musztrując tym sposobem.

Mgła, która rano się zjawiła w puszczy, zaczęła w drobny kapuśniaczek się przemieniać.

Około godziny 11 r., zrobiwszy przeszło 2 ½ mile samą puszcza, zatrzymaliśmy się około jakichś górniczych budynków, «koszary górnicze» zwanych.

Staliśmy w szeregu z bronią do nogi jaki kwadrans dobry; gdy z przeciwnej strony zjawił się oddział Grelińskiego²⁹, który za trzecim dopiero wysłanym przez Czachowskiego jako Naczelnika Wojennego Województwa do niego, w górach Witosławskich³⁰ organizującego się tylko wciąż, rozkazem - wyciągnął przecież raz na widownię, z tego ciągłego przez sześć prawie tygodni ukrywania się, w rzeczonych górach i lasach, i daremno tylko objadania i obierania z podatków narodowych mieszkańców powiatów: Sandomierskiego i Opatowskiego. Obecnie przybywał- na wyznaczony punkt w puszczy, aby przedstawić siebie i swój oddział Naczelnikowi.

Major Greliński, w towarzystwie kapitana Bogdana³¹, podjechał ku oczekującemu go konno, w otoczeniu kilku oficerów swego i Kononowicza oddziałów wraz z tym ostatnim, także na koniach siedzących - i salutując starego wodza, złożył mu odpowiedni raport.

Czachowski zawezwał oficerów wymienionych do zsiadania z koni, oraz kilku oficerów pieszych ze swego oddziału, i wszedł wraz z nimi do wnętrza, stojącego z lewego boku naszej kolumny pustego budynku.

Major Greliński, był to człowiek przystojny i zgrabny, na powstańca zbyt elegancko wyglądający, z ciemnymi włosami i takimiż maleńkimi wąsikami; pochodził z Galicji a pierwszy zadokumentował jawnie u nas zasady polityki utylitarno, fruktyfikacyjnej, która tam zaszczipiona przez potomków Targowicy, przez dwadzieścia lat przeszło tak obfite plony wydawać miała na zgubę narodu.

O rodzaju tego sportu Grelińskiego, obszerniej mówić nie warto.

Kapitan Bogdan, wsoki, chudy, blondyn z jasnym okiem, ubrany w krótką powstańczą kurtkę, buty juchtowe, z pałaszem przy boku, rewolwerem na smyczy za pasem rzemiennym, z głową krótko ostrzyżoną, nakrytą czerwonym fezem tureckim a sam do tego w rudej burce powstańczej - postawą, chodem i znalezieniem się swoim, zrobił na mnie wrażenie prawdziwego, staro słuźbistego oficera jakim w istocie był. Lat mógł mieć około 50.

Gdy kapitanowie Grzmot i Michalski, odchodząc na wezwanie dowódcy do wnętrza budynku, szepnęli mi do ucha, że idą na naradę wojenną, i abym miał bacność na wszystko, co zajść może, stanąłem wyprostowany przed czołem kompanji, i wsparty na swej nieczynnej dubeltówce, oczekiwałem, co nastąpi dalej, wodząc oczyma po oddziale Grelińskiego, który jako stojący na niższym trochę miejscu, mogłem łatwo od końca do końca widzieć.

Stan oddziału rzonego był następujący: 180 sztuców belgijskich, 60 dubelówek pojedynczych (piechota i strzelcy), 150 kosynjerów, 60 kawaleji wraz z dowódczą i oficerami; 450 ludzi ogółem.

Umundurowanie było jednakowe: białe sukmanki i także szarawary w juchtowe

²⁹ Faustyn Gryliński (1830-1866), walczył pod rozkazami Garibaldiiego. W czasie powstania zorganizował oddział w powiecie opatowskim. Nie chciał się podporządkować Czachowskiemu.

³⁰ Chodzi o tzw. wzgórze witosławickie rozciągające się w pobliżu Opatowa.

³¹ Paweł Bogdan to pseudonim Bogdanowa, byłego oficera piechoty carskiej.

buty wpuszczone, ciemne rogatywki z lampasem barankowym, z wyjątkiem kawalerji, mającej ciemne kurtki w miejsce białych sukmanek i także szarawary a nadto i ludzie w nim byli prawie sami młodzi, ale dobrze już rozwinięci. Z wyjątkiem kawalerji oraz większej połowy oficerów, klórzy należeli do inteligencji, reszta składała się z synów mieszczańskich i włościańskich, rzeczonych wyżej dwóch powiatów.

Staliśmy znów przeszło godzinę w największym milczeniu i oczekiwaniu. Mimo że stał przeszło o sto kroków na samem czele kolumny, która wymięła już wymieniony wyżej pusty budynek, dochodził z tamtąd jakiś gwar czy sprzeczką, oraz podawane przez szeregi uwagi od tych, co stali naprzeciwko «Koszar górniczych». Po upływie jeszcze nieco czasu, wyszedł z budynku, widocznie wzburzony, X. Agrypin Konarski³², kapucyn, wzięty później z oddziału Kononowicza do niewoli i powieszony w lecie 1863 r. na stoku cytadeli Warszawskiej, a ówczesny nasz kapelan. Przechodząc obok, mówił do siebie: zobaczymy! a minąwszy mnie i wyprzedziwszy, o jakie trzydzieści kroków, podniósł krzyż kapłański do góry, i wygłosił silnym swym organem podniosłą religijno - patriotyczną do oddziału Grelińskiego przemowę, wzywając w imię ukrzyżowanego Chrystusa, do wspólnego połączenia się przeciw wrogom.

Na ukazany znak męki Zbawiciela i żarliwe wezwanie kapłana bohatera, kilku prowodyrów z oddziału Grelińskiego wrzasnęło z całej siły:

- Nie za krzyżem, ale my tylko za majorem Grelińskim pójdziemy. Niech żyje major Greliński!!!

Okrzyk powyższy, zaczęli powtarzać bezustanku krzykliwie i prostaki z tego oddziału, widocznie do tego poprzednio przysposobieni.

Ksiądz Konarski wielce się zmięszał takim objawem, wcale dla niego niespodzianym jako słynącego z wymowy i żarliwości kapłańskiej.

Zrozumiawszy, że Greliński działając podobnie rozpoczął już podziemną agitację, aby i u nas, w Królestwie, przy pomocy prostaczków, dalej nad koniec własnego nosa nie widzących, nurtować, i na początek wyjednać sobie bułą i arrogancją autonomią od Rządu Narodowego, dla utworzonego z naszych braci i za nasz krwawy grosz swego oddziału. A tym sposobem zasiawszy między nami rozdwojenie, prowadzić dalej rozpoczęte już przez jego panów podłe a głupie dzieło zabicia sprawy powstania, przysposobienia im wolnego gruntu, obficie krwią męczenników użyźnionego za wolność ginących, pod zasiew ich niewolniczej wielkości i śmierci narodu..

Skoczyłem przeto ku kompanji swej a wyrwawszy z rąk najbliższego nabity sztuciec w zamian za moją dubeltówkę, pospieszyłem do oddziału Grelińskiego, w którym dostrzegłem najwięcej hałasującego, znanego mi H. W., blagiera, kancelistę przed powstaniem w powiecie Radomskim a jak ujrzałem, teraz już oficera.

Gdym się zrównał z X. Konarskim, wymówiłem do tegoż na cały głos, aby mnie oddziały słyszały.

- X. Agrypinie! Gdzie idzie o sprawy wojskowe, racz to pozostawić wojskowym a łatwiej się porozumieją. Wszak widzisz X. dowodnie, że w najlepszej intencji, swem przemówieniem, stałaś się mimowolną przyczyną obrazy Boga przez bluźnierstwo.

Następnie zbliżywszy się do samego czoła oddziału Grelińskiego, który naraz krzyczeć przestał, z całym oburzeniem i całą siłą krzyknąłem:

- Wstyd i hańba wam! to nie Polacy, ale wyrodki chyba, podłe i nikczemne zdrajcy

³² Ks. Agrypin Konarski (1820 – 1863), kapucyn. Był najpierw kapelanem u Langiewicza, a później u Czachowskiego. Powieszony na stokach Cytadeli Warszawskiej w czerwcu 1863 roku.

Ojczyzny takie wrzaski tylko wydawać mogą! - I tu wpadłszy w zapał oratorski, zdołałem ich opamiętać.

Cisza zupełna zapanowała. H. W. skonster nowany stał przedemną i bąkał ze spuszczonej w ziemię oczyma:

- Kiedy wasz dowódzca dał się słyszeć, że nas rozbroić każe? A my, gdyby przyszło zginąć, to się rozbroić nie damy!

- Zapominasz się! - odpowiedziałem - to nie- tylko nasz, ale i wasz dowódzca i - i dalejże ich reflektować rzetelnie a otwarcie.

Gdym domawiał ostatnich słów, nie uważałem, że już rada wojenna opuściła budynek. Przejeżdżający za jakimś rozkazem adjutant Wielhorski, gdy się zrównał, odezwał się do mnie:

- Nie potrzebnie się pan mięszasz do tego. Proszę iść do swej kompanji.

Nadjechał na to Czachowski, zatrzymał konia i zapytał mnie: .

- O cóż to idzie?

Opowiedziałem mu co tu zaszło.

- Dobrze kolego! - wymówił do mnie życzliwie i wesoło, a pokręcając węża, dodał: - Wszystko już wyrównane. Musi iść jak powinno...

Przejeżdżał obok nas i Greliński, ale już fantazja zrzędnęła mu bardzo, jakiś wielce zmieszany i nie swój. Oddział jego przeszedł całkowicie pod rozkazy Czachowskiego, po zlustrowaniu jako przed starszym naczelnikiem.

Po chwili, Czachowski: zupełnie uspokojony, znów swym zwyczajem zaczął cwałować na około kolumny.

Deszcz nie ustawał.

Kapitanowie, Grzmot i Michalski, postępując obok mnie, wtajemniczyli mnie o odbytej naradzie. Przedstawili arrogancją i butę początkową Grelińskiego i chęć stawiania oporu wspólnemu działaniu z Czachowskiego oddziałami, w zamierzonym właśnie planie, który ma być wykonanym za dni dwa, to jest w wielką Sobotę, według wschodniego kalendarza.

Na objawioną przez Grelińskiego, wbrew głosowi wszystkich członków rady wojennej, butę, arrogancję i pretensje autonomji dla swego oddziału, zagroził mu Czachowski sądem wojennym i natychmiastowym rozstrzelaniem. Gdy i to do poddania się zupełnego pod rozkazy Rządu Narodowego nie skłonił go, wtedy stary wódz porwał za rewolwer; ale stojący obok niego, pochwycili go z błaganiem za ręce, prosząc, aby swej własnej ręki na winnym nieposłuszeństwie doraźnym wymiarem sprawiedliwości nie kalał. Usłyszawszy to, dopiero Greliński zbladł, spokorniał, i w tym stanie poddał się rozkazom naczelnika wojennego.

Objasnili mnie również, że zaraz po skończonych ruskich świętach bić się z Moskalami będziemy, którzy wyruszą niezawodnie gromadnie, dla odemszczenia się za zamierzone niepokojenie ich podczas świąt oraz za powieszenie w dniu wczorajszym tu, w puszczy, dwóch ich szpiegów, kolonistów z niemieckiej kolonji, Jawór.

Gdy tak rozmawiając maszerowaliśmy, przejeżdżający Czachowski, wyrzekł łaska wie do mnie:

- Kolego źle trafiłeś. Na pierwszy dzień twego przybycia pada deszcz, zmokłeś. Gotoweś dostać kataru...

Za odpowiedź na ten żart, rozśmiał się serdecznie i wesoło stary wódz, i pomknął ku czołu kolumny.

Około godziny 2 po południu wyszliśmy z puszczy do leśnictwa rządowego Lubień³³, nie daleko traktu z Wąchocka do Ostrowca, pod lasem, a na granicy od zachodu pól wsi Lubienia. Wieś Lubień prawie wokoło puszcza nżecką jest otoczona. Oddział Czachowskiego zajął tylko leśnictwo, gdyż wziął na siebie całą służbę na zewnątrz. Kononowicza zaś i Grelińskiego oddziały zajęły wieś. Kompanja, do której należałem, dostała dziś dyżur czyli służbę odwachową i wedet.

Przysposobiony dostatecznie, co do służby jaką mam wkrótce pełnić, o g. 1/4 zostałem odprowadzony na wedetę, a to z moją nieczynną dubeltówką i w najfatalniejsze miejsce, bo postawiono mnie w łańcuchu od strony szosy, z kąd Moskali oczekiwaliśmy.

Staliśmy o sto kroków jeden od drugiego, i to bez towarzystwa kosynjerów. Przyznam się, że trochę mi markotno zrobiło się; bo chyba w potrzebie obrony na kolbę mej dubeltówki liczyć mogłem, a postawiono mnie mimo to prawie w najniebezpieczniejszym miejscu, przy zbiegu dwóch, dróg. Pomyślałem, służba wedet nie darmo nazywa się: straconą placówką.

Przez ten czas miałem wizyty: majora Trzczińskiego³⁴, pułkowników Kononowicza i Czachowskiego. Jakies strzały od północy kilka razy się powtórzyły.

O g. 6 w. ściągnięto placów ki i pomaszerowaliśmy znów do puszczy, do wioszcyny Budy. Zastaliśmy tu już obozujące oddziały Kononowicza i Grelińskiego.

Służbę odwachową i zewnątrz obozu objęła kompanja, dowodzona przez kapitana Dolińskiego garybaldczyka i oficera następnie z armji włoskiej.

W dniu 10 kwietnia nad samym dniem, Czachowski, odkomenderował kapitana Ludwika Michalskiego do oddziału Kononowicza na instruktora; gdyż także i ten był pod Garibaldim, a następnie w armji włoskiej.

Dowództwo zaś kompanji swego imienia, gdyż ciągle była u nas tem mianem nazywaną jako posiadająca w składzie swoim dość jeszcze żołnierzy co byli z Czachowskim w pierwszym dniu wybuchu powstania z rangą kapitana, - powierzył kapitanowi Dobrogojskiemu.

Rozwidniać się poczęło, gdy oddziały z tego miejsca, każdy osobno, we wskazanym przez Czachowskiego kierunku, wyruszyły.

My pociągnęliśmy puszcza na połnocno-zachód, i przed południem zajęliśmy z powrotem obozowisko pod Lipiem. Kapitan Grzmot zajął się zaraz nauką robienia bronią, przykładania się do celu, parowania i ataku na bagnety, oraz obrotów i poruszeń niniejszych; gdyż drzewa przeszkadzały do wykonywania obrotów większych. Nauczał komendy i sygnałów na malutkich kościanych świstawkach, dla całej piechoty i kosynjerów przez niego ustanowionych.

Musztrowaliśmy się i uczyli gorliwie a pojętnie, tem więcej ze miał dar jasnego i ujmującego wykładu praktycznego, przez kilka godzin, tak że zupełnie o dokuczającym nam głodzie i pragnieniu zapomnieliśmy.

Po musztrze tej, kto co z sobą miał w tornistrze, to przekąsił; ale większość tylko wodą mogła ugasić palące ją z głodu pragnienie.

Dobrze po południu wyszliśmy z tego obozu, dążąc na północny wschód; na marszu, w puszczy, połączyły się znów wszystkie trzy oddziały.

Prawie całą połączoną kawalerję, Czachowski, gościńcem na północ przez puszcza od Ostrowca do Iłży wysłał, dla zaalarmowania trzech rot piechoty moskiewskiej,

³³ Chodzi o miejscowość i leśnictwo Lubienia.

³⁴ Nie udało się ustalić bliższych danych.

przybyłej z Radomia na załogę do tej ostatniej. Piechota zaś i kosynjerzy, pomaszerowaliśmy w rzeczonym dalej kierunku, i wyszliśmy z puszczy na drogę do wsi Pasztovej Woli, na wschód od rzeczonego miasta leżącej.

Gdy przednie konne czaty moskiewskie ujrzały, wysuwającą się z puszczy długą linię kawalerji powstańczej z również długą piechoty i strasznych jeszcze wówczas dla nich kosynjerów, - pierzchnęły cwałem pędząc do miasta po strzałach alarmowych, cofając się natychmiast, a piechota moskiewska, gotująca właśnie swój obiad, wylawszy go na ziemię, - wsiadła na podwoły i śpiesznie umknęła z Ifży do Radomia, roznosząc po drodze wieść, że masa powstańców z Czachowskim ciągnie z puszczy Iłżeckiej na zdobycie stołecznego miasta.

Zawiadomieni, przez wysłanego do Czachowskiego kawalerzystę o tym sukcesie, przez samo tylko rozwleczone ukazanie wrogowi połączonych naszych sił, byliśmy zentuzjazmowani. Cała tymczasem odkomenderowana kawalerja, udawała wciąż pościg pędząc za gwałtownie umykającym wrogiem, aż prawie pod samo miasto; my zaś skręciliśmy na wschód, i stanęliśmy we wsi Pasztovej Woli, już nad samym wieczorem.

Nie wiedzieliśmy jak długo w niej stać będziemy. Koledzy moi, zaczęli narzekać na wielce dokuczający im głód. We wsi zjawiliśmy się niespodziewanie. Nie było więc nic dla nas przygotowanego, a do tego był to czas przednowku. Wieś ta, na biedę, nie posiadała i żadnego dworu.

Postarawszy się o drzewo i garczki, kazałem na boku, od strony pola, rozpaść małe ognisko, i choć wody na herbatę i do bulionu zagrzać; a tymczasem wysłałem paru towarzyszy z pieniędzmi, aby co od włościan z żywności zakupili. Wrócili wkrótce smutni, przynosząc za ledwie kilka bochenków chleba i donosząc, że więcej nic innego, ani nawet tego już nie dostanie. Wiedząc, że w niej jest kilku zamożnych gospodarzy, wziąłem z sobą odpowiednią liczbę towarzyszy, i w pierwszej chacie powziąwszy języka, udawałem się kolejno do każdego z nich. Gdym tylko wchodził do izby, natychmiast wymawiałem:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Następnie zwracałem się do gospodyni, przedstawiając naszą potrzebę i wręczając jej do rąk pewną ilość drobnej a nowiuteńkiej srebrnej monety; prosiłem ją, aby jako lepiej odemnie znająca, co u kogo z gospodarzy: z chleba, mleka, sera, śmietany, masła, jaj, słoniny, i krup, a może gdzie gotowej już kapusty i kartofli dostać będzie mogła - zechciała mnie zastąpić, kupiła we wsi, i to towarzyszowi mojemu, który na to będzie czekał w jej domu, doręczyła.

Pośrednictwo tych zamożnych gospodyń, tak poskutkowało, iż wkrótce naniesionem przez nie jadłem kilkudziesiąt moich towarzyszy pożywiło się, i jeszcze do mego tornistra przybyło: parę funtów słoniny, sera i kilka jaj na twardo zgotowanych, i to bardzo tanim kosztem.

Tak trzeba z ludem naszym poczynać, jeżeli chcemy skuteczną pomoc i solidarność jego pozyskać.

Wchodząc do jego chaty, należy najpierw jego religijne i narodowe zwyczaje uszanować, dowieść mu, że one są i naszemi. Następnie okazać mu zupełną ufność, po przedstawieniu jasnym swej potrzeby, a dopiero zażądać, nie zupełnie wszakże bezinteresownej pomocy. Lud od wieków krzywdzony i na wszystkie strony wyzyskiwany, strasznie się obawia wszelkich darń, i mieć je będzie wiecznie w nienawiści.

Po spełnieniu dopiero powyższych warunków, gdy się przekona dowodnie, że ukryte przed okiem wrogów i jego spółników głęboko na dnie jego duszy uczucia: religijne, narodowe i pragnienia wspólnego dobra dla wszystkich, u żądającego jego pomocy, odpowiadają jego własnym - można być pewnym, że wszelkiej w jego mocy będącej pomocy udzieli; a udowodnił już niejednokrotnie, że i krwi własnej z pod serca swego utoczył, dla niego i jego zasad nie pożałuje.

Ta znajomość moja ludu sprawiła, że gdy się stary wódz o niej dowiedział i przekonał, odtąd, mimo że sam u ludu doznawał wielkiego poszanowania i miłości, używał mnie do porozumiewania się z nim skoro zachodziła tego potrzeba.

Zaledwie jeść zaczęliśmy, przypadł do mnie zdyszany posłaniec od oficerów, abym natychmiast na drugi koniec wsi pospieszył, bo kapitan Dobrogojski chce sobie palnąć w łeb.

Zerwałem się zląkniony, dopadłem do szamocących się z Dobrogojskim oficerów, który powziął stanowczy zamiar samobójczy; w skutek ublżenia mu, jakiego się dopuścił na nim adjutant Czachowskiego, wyż rzeczony hr. Wielhorski, a rzecz tak się miała.

Gdyśmy weszli do Pasztowej Woli, Czachowski, zajął na własną kwaterę dom niedaleko końca wsi, od strony Iłży. My zaś jako idący w awangardzie, dosięgliśmy drugiego końca jej, od strony miasteczka Grabowca. Dobrogojski mając jakiś interes do dowódcy, po otrzymanej wyż rzeczony komendzie, gdyśmy spoczęli w miejscu, udał się do jego kwatery. Gdy się zbliżył do niej i wszedł do sieni, Wielhorski, który widział go przez okno, otworzył raptem takowe, i niby do stojącego w pierwszych drzwiach, ze dworu do sieni, na warcie powstańca krzyknął:

-Mówiłem ci durniu, że nie wolno wchodzić nikomu!

Dobrogojski, człowiek wysokiego taktu i delikatności, płynących z jego gruntownego wykształcenia i aż do egzaltacji posuniętego punktu honoru, stanął jak piorunem rażony, biorąc słowa powyższe hrabiczka do siebie.

Oprzytomniawszy, wyskoczył z sieni na ulicę, monologując, co go w tej chwili spotkało i o swym tajemnym żalu, z powodu nieufności Czachowskiego, głośno wypowiadając, wyciągnął z za pasa rewolwer i podniósł go do czoła.

Kilku ze stojących tuż oficerów, poskoczyło ku niemu a wydarłszy z rąk broń, schwycili go pomiędzy siebie, i postanowili nie dopuścić do wykonania tego rozpaczliwego kroku. Gdy jednak spostrzegli, że wszystkie ich przyjacielskie perswazje nie pomagają, wezwali i mnie do pomocy. Moje dopiero gorące i serdeczne słowa rozbroiły go, bo miał serce dziwnie miękkie jak u panienki.

Ze łzą w oku podał mi Grzmot swą rękę, słowo honoru wymówił i uściskaliśmy się serdecznie wszyscy obecni. Ja zaś, wzięwszy z sobą dwóch, udałem się do Czachowskiego, a poprosiwszy żeby Wielhorski wyszedł, tak skutecznie mu mojejpropozycję przedłożyłem, że ten w tej chwili kazał Wielhorskiemu przeprosić Grzmota, co tenże w pokorze uczynił.

Jak zwykle między młodymi ludźmi bywa, którzy pierwszy raz broń w życiu przy boku uczuli, niektórzy zaczęli mówić o pojedynku, ale nic z tego nie było. Ta powszechna manja pojedynkowania się podczas wojny u nas, naprowadziła mię potem na dobrą myśl, a Czachowski ją przyjął. Na tem stanęło, aby ci, co pojedynkować się z sobą postanowili, bez względu na zajmowany przez nich stopień i rodzaj broni, dostawali po 75 ładunków w kieszenie i karabiny do rąk. Następnie, gdy będziemy w bitwie, szli o 150 kroków po przed łańcuch tyraljerski i strzelali do wroga nieustannie przy czem jednakże

niewolno było zasłonić się drzewem, kamieniem i nierównością gruntu a tem mniej pełzać; - musieli natomiast postępować naprzód jawnie jak struna wyprostowani, aż do zupełnego wystrzelania 75 ładunków. Któryby zaś, nie wystrzelawszy swych wszystkich ładunków do wroga, cofnął się lub chciał się zasłonić, tego podłym uznamy i jako takiego wykluczmy nadal ze swego oddziału.

Z chwilą ogłoszenia tego nowego prawa pojedynkowego, zupełnie grasować u nas przestały pojedynki.

Zmrok zapadać zaczął a z nim otrzymaliśmy i rozkaz do wymarszu.

Pożegnawszy się z ludem patrijotycznym tej wsi, co nam niejednokrotnie czynami swemi udowodnił potem, wyruszyliśmy pociemku wieczorem i zniknęliśmy w puszczy Iłżeckiej. Wkroczywszy do puszczy, oddziały się rozeszły dla zajęcia nocnych leż.

Oddział nasz skierował się na wschód. Uszedłszy kawał drogi, wyszliśmy na pola i wkroczyliśmy do wielkiej wsi, Wólki Modrzejowej, i w niej rozłożyliśmy się na nocleg. Kompanja Czachowskiego dostała na tę noc obowiązek pełnienia służby dyżurnej.

O g. 12 w nocy, zjawił się ordynans dowódcy na odwachu i wezwał kapitana Grzmota do domu. Na odchodnem, Dobrogojski, zdał mi służbę w zastępstwie siebie, i poinformował co do służby obozowej zewnętrznej głównie. O g. ½1 w nocy, powrócił rzeczony wyżej ordynans, i przyniósł mi rozkaz Czachowskiego, abym dwóch aresztantów: Kotkowskiego i Celiliskiego³⁵ z odwachu, do jego kwatery pod eskortą dostawił. Zdałem więc służbę Franciszkowi Tylmannowi³⁶, dzielnemu żołnierzowi ze szkoły wojskowej w Genui i Cuneo, a obowiązki wtedy starszego sierżanta w naszej kompanji pełniącego; zabrałem rzeczonych dwóch aresztowanych młodych ludzi, i takowych do dworu poprowadziłem.

Po sprowadzeniu do dworu aresztantów, zatrzymał mnie Czachowski, i ukazując mi drzwi przyległego pokoju, dokąd wprowadzono więźni, klepiąc mnie po ramieniu, rzekł:

- I ty wejdz tam! będzie to sąd wojenny nad nim a ty do jego składu jesteś potrzebny.

Wysłuchawszy rozkazu powyższego i sprezentowawszy broń, wszedłem do następnego obszernego pokoju. Salon, w którym czuwał dowódzca, choć tylko świecami, atoli był dość jakoś jasno oświetlony.

Gdym przeto się dowiedział, że to ma być sąd wojenny, na którym dotąd w życiu swoim nigdy nie uczestniczyłem, i wszedł do następnego, również obszernego a prawie zupełnie opróżnionego pokoju, w którego rogu stał stół, okryty zielonem suknem, z dwoma łojowemi tylko świecami, po obydwóch stronach krucyfiks pałacemi się, a pełnemi plikami papierów zarzucony, do tego jeszcze o g. 1 w nocy, i w tej ponurej prawie grobowej ciszy - uczułem grozę niewymowną. Na środku izby stało w milczeniu poważnem koło oficerów naszego oddziału bez broni a w pośrodku jego dwóch aresztantów.

Wybrano majora Atanazego Kicińskiego na prezesa i Zdzitowieckiego³⁷, b. oficera moskiewskiego, na audytora sądu. Widząc, że wszyscy stoją bez broni, postawiłem i ja moją dubeltówkę, i bezbronny stanąłem w miejscu zostawionem mi w obwodzie koła. Major Kiciński, otworzył zresztą posiedzenie oświadczając, że ten jest w komplecie i

³⁵ Byli to żołnierze Czachowskiego, którzy chcieli zbiec do Kononowicza.

³⁶ Mylnie. Chodzi o Albina Tylmana (1843 – 1863), który walczył później pod rozkazami Bosaka i zginął w bitwie pod Ocieskami 28 listopada 1863.

³⁷ Blizszych informacji o tych oficerach nie udało się ustalić.

zawezwał audytora Zdzitowieckiego, do wniesienia oskarżenia, które opiewało: że stojący obecnie przed sądem, ze służby wedet, na których jako kawalerzyści postawieni byli, porozumiewszy się z sobą jednej nocy, obaj z oddziału naszego, z bronią, końmi i ich rysztunkiem zbiegli do oddziału Kononowicza. Że następnie, za zbliżeniem się tego oddziału do naszego, aresztowani zostali.

A jako ci, co dopuścili się jednego z największych i najcięższych przestępstw, w czasie trwającej wojny, podpadają więc najsurowszemu wymiarowi kary, której na podstawie obowiązujących praw wojennych się domaga.

Oskarżenie domaga się przeto: kary śmierci przez rozstrzelanie.

Gdy przyszło do zatwierdzenia tego wyroku, stojący pierwszy w kole, kapitan Grzmot, wymówił z powagą:

- Kula!

Drugi kapitan także strzelców, Dolnicki³⁸, Garybaldczyk, rodem z Galicji, właściwym sobie szorstkim i brutalnym głosem wypowiedział:

- Stryczek!

Trzeci, porucznik strzelców a takież oficer z armji pruskiej, z Poznańskiego, Franciszek Boczkowski³⁹, wymówił znów z powagą:

- Kula!

Czwarty, podporucznik strzelców ze szkoły Genueńskiej i Cuneońskiej, młodzieńki Izidor Karlsbad⁴⁰, izraelita z Warszawy, wymówił również:

- Kula!

Piąty, major Stawecki⁴¹, były kupiec z Radomia a dowódzca kosynierów, głosował znowu:

- Stryczek!

Szósty, Stanisław Jagiełski⁴², porucznik kosynjerów a jak mówili w oddziale, były subjekt kupiecki a dowódzca drugiej kompanji kosynjerów, idąc śladem dowódcy swej broni, wymówił też:

- Stryczek!

Gdym usłyszał, wymówiony przez Dolnickiego - stryczek - wstrząsnąłem się cały, ale powstrzymując swe oburzenie, przysłuchiwałem się bacznie reszcie głosów. Skoro tedy na siódmego, mnie, przyszła kolej, rzekłem silnym głosem, wrząc cały z oburzenia :

- Stryczek dla zdrajców, kula dla żołnierza!

Widziałem jak wszyscy na mnie zwrócili swe oczy. Jedni z sympatją, drudzy prawie z nienawiścią.

Ósmy, stojący obok mnie szeregowiec, powtórzył me słowa. Za nim dziewiąty, podporucznik strzelców, Wojdacki⁴³, młody chłopiec, ze szkół do powstania wyszły, też samo uczynił. Dziesiąty, podporucznik strzelców z kompanji Dolnickiego, też ze szkół Radomskich, Zygmunt Piotrowski⁴⁴, wielce protegowany przez Czachowskiego, jako syn

³⁸ Mylnie. Chodzi o Piotra Dolińskiego.

³⁹ Nie ustalono bliższych danych

⁴⁰ Nie ustalono bliższych danych

⁴¹ Nie ustalono bliższych danych.

⁴² Nie ustalono bliższych danych.

⁴³ Józef Wojdacki (1841-1927), walczył najpierw pod Langiewiczem, a od Grochowisk pod Czachowskim. Uniknął aresztowań. W 1916 roku doprowadził w Radomiu do utworzenia Stowarzyszenia Weteranów Powstania Styczniowego.

⁴⁴ Bliższych danych nie udało się ustalić.

znanego obywatela i wielkiego patrioty, a jak się później pod Rzeczniewem okazało, lubiący w czasie najgorętszym boju cofać się w tył, mówiąc: że idzie po rozkazy do dowódcy; ztąd powstało, że każdego później w bitwie przystającego pytano: czy nie zamysła iść po rozkazy ?-zarozumiały wielce do tego ze swego urodzenia a za to od wszystkich towarzyszy unikany, znów wyrwał się:

- Stryczek!

Za to stojący za nim oficerowie naszej kawalerji: Antoni Wielobycki⁴⁵, z Opoczyńskiego syn obywatelski; Górski⁴⁶, bardzo majątny syn obywatelski, z pod Warszawy; Lipski⁴⁷, syn takichże rodziców, z Opoczyńskiego i Józef Laskowski⁴⁸, syn zmarłego inżyniera powiatu opoczyńskiego - wszyscy jednogłośnie a z widocznym oburzeniem, powtórzyli dosłownie moje wyrazy.

Major Kiciński ogłosił przeto z powagą:

- Sąd wojenny jednogłośnie wydał na winnych wyrok śmierci! Większość zaś bardzo znaczna członków tegoż, zastosowała się do prawa wojennego, orzekając wykonanie takowego przez rozstrzelanie.

Na ogłoszony, powyższy smutny dla nich wyrok, młodzi przestępcy, a mieli najwięcej od 19 do 21 lat, zaczęli ręce łamać i lamentować rozpaczliwie, mówiąc, że boli ich to najwięcej, iż rąk własnych braci Polaków, mają ginąć.

A starszy z nich i przytomniejszy, Kotkowski, mówił rozpaczliwie, błagając zwrócony ku mnie:

- Przecież dwa razy prosiliśmy wprzód pułkownika Czachowskiego, aby nam jako pochodzącym z Warszawy, pozwolił się przenieść do oddziału pułkownika Kononowicza, w którym jest dużo naszych z tamtąd przyjaciół i znajomych. Gdy nam stanowczo to odmówił, dopiero wtedy zbiegliśmy. Prawda, żeśmy bardo źle zrobili, uchodząc z wedet; ale zbiegliśmy przecie nie do Moskali, lecz tylko do drugiego oddziału, także polskiego i za Polski wolność się bijącego. Przecież nie uroniliśmy nic z własności rządowej, ani koni, ani ich rynsztunku, ani własnego uzbrojenia, lecz jak z wedety nierozważnie zeszliliśmy, w tymże samym stanie i do oddziału Kononowicza wstąpiliśmy, aby wśród swoich bić się z wrogiem dalej - mówił wiele a potem dodał:

- Przecież my należeliśmy do tajnej żandarmerji Warszawskiej, która tyle usług świętej naszej sprawie oddała. Ja to przecież własną pracą, i z niej zdobytym groszem utrzymywałem przez dwa tygodnie 12 dobranych towarzyszków; gdy mi doręczono polecenie komitetu Centralnego, zasztyletować naczelnika tajnej moskiewskiej policji, Felknera⁴⁹. Ja to jestem, który czatowałem na niego, tak długi czas, gdyż był i sam zanadto ostrożny a do tego jeszcze przez liczną straż policyjną, po cywilnemu przebraną, był pilnowany nadzwyczaj starannie; przeto prawie niepodobna było na nim, wyrok powyższy wykonać.

Jednakże, gdy mi ostatniego dnia powiedziano: że gdybyśmy paść mieli ofiarą, nawet wszyscy, to Felkner tego dnia jeszcze zginąć musi a gruba laska trzciniowa jaką się

⁴⁵ Rotmistrz Józef Wielobycki zginął pod Bodzechowem 16 grudnia 1863 roku.

⁴⁶ Nie ustalono bliższych danych.

⁴⁷ Prawdopodobnie chodzi o Gabriela Lipskiego ur. w 1843 r. w Skąpem (pow. opoczyński), rannego pod Bodzechowem 16 grudnia 1863. Udało mu się przedostać do Galicji .

⁴⁸ Nie ustalono bliższych danych.

⁴⁹ Paweł Felkner, szef tajnej policji w Warszawie został zasztyletowany 20 września 1862 roku.

podpiera, komitetowi dostarczoną być powinna; gdyż inaczej papiery, wewnątrz tej ukryte, skoro się dostaną w ręce rządu moskiewskiego, to straszne szkody i ofiary dla sprawy narodowej za sobą pociągną, albowiem wykryją główną organizacją naszą. Felkner padł trupem z mojej ręki, a łaskę z papierami ukrytymi w niej oddałem komitetowi!

Dla nas, co tak ukochaliśmy drogą naszą Matkę, Polskę, kamieniem padły słowa więźniów patriotów na umysł i duszę; bo przeszłości tych młodzieńców nie znałem dotąd wcale. Gdym przeto wysłuchał ich narzekania, podczas których wszyscy milczeliśmy, widziałem z wyrazu twarzy członków sądu, że większość również jak ja, wcale nie wiedziała, kogo zasądziła. Przerwałem narzekania więźniów i ciszę z naszej strony, zwracając się do prezesa, prosząc go o objaśnienie czy to prawda wszystko, co tu słyszemy?

Major Kiciński odpowiedział na to - «prawda.»

Przyznam się, że ich młodość, poświęcenie dla sprawy, rozpacz z całym okazywanym przez nich pojęciem wielkiej swej winy jakiej się względem oddziału naszego dopuścili, nadzwyczaj mnie wzruszyły i dla nich usposobiły. Obawiając się przeto, aby Doliński nie popsuł swem odezwaniem się, przychylniejszego dla nich nastroju umysłów sądu jaki teraz nastąpił - mimo że byłem najświeższym ochotnikiem w oddziale, a zatem naj młodszy w pośród sądu - pospieszyłem zabrać głos w ich obronie. Moje gorące słowa przemówiły do dusz sędziów patriotów, i złamało ich spartańską surowość.

Wniosłem na ostatku: o zmianę wyroku poprzedniego, ze względu na objawione po nim okoliczności, tak wielce sprawę ich i występki łagodzące. Większość członków, znów bardzo znaczna, stanęła po mojej stronie a co najważniejsze: oto i prezes przystąpił do niej.

Wniósł zatem zmianę poprzedniego wyroku. Major Kiciński zawezwał nas do głosowania ponownego, dla oznaczenia wysokości i rodzaju kary.

Tylko Grzmot i Boczkowski wyrzekli tą razą :

- Kula!

Dolnicki, Stawecki, Jagielski i Piotrowski głosowali tą razą jednomyślnie za «batami».

Gdym usłyszał, wychodzące z ust Dolnickiego «baty!» w tej chwili, znów oburzony do głębi mej istoty, sprzeciwiłem się temu dobitnie, patrząc ostro temuż w oczy, za co odtąd wzajemna pomiędzy nami niechęć zapanowała; psułem mu jego szorstkie wybryki, on zaś u Czachowskiego starał się różne dołki podemną kopać; to wszakże na nic mu się nie przydawało, przeciwnie jednało mi coraz większą przychylność, życzliwość i uznanie u starego wodza.

- Baty hańbią żołnierza polskiego. Albo łaska zupełna, albo kula - krzyknąłem zawzięcie.

Wszyscy pozostali członkowie sądu, jednoznacznie powtórzyli oburzeni me słowa. Major Kiciński skonstatowawszy większość znaczną za łaską, udał się z przedstawieniem do Czachowskiego.

Wniosłem zaś, poddając łasce wodza podsądnych: aby tych z oddziału naszego, lecz bez koni, rynsztunku i uzbrojenia wydalili do oddziału Kononowicza, gdzie mamy nadzieję, że walcząc w pośród swoich dalej, wielki błąd młodości swej naprawią.

Wniosek mój znów znaczna większość poparła a Czachowski zatwierdził⁵⁰.

Ukoiwszy żal młodzieńców podsądnych, odprowadziliśmy ich na odwach, gdzie Kotkowski opowiedział mi nadzwyczaj ważne szczegóły historyczne o egzekucji Felknera.

Komitet centralny osiągnął dowody, że naczelnikiem wszystkich tajnych carskich szpiegów w Warszawie był inspektor szkół Felkner, na ulicy Freta mieszkający; wydał był wyrok śmierci na niego, i wykonanie powierzył wybranym z żandarmerji tajnej polskiej, dwunastu jej członkom pod dowództwem Kotkowskiego.

Przez dwa tygodnie nie mógł go dosięgnąć.

Gdy mu jednak w ostatnim dniu objawiono, że dziś bądź co bądź musi zginąć, a laska jego znaleźć się w posiadaniu Komitetu; przeto rozstawiwszy swoich towarzyszy po wszystkich ulicach, w pobliżu ul. Freta koło jego mieszkania, jedną z nich musiało wypaść koniecznie przechodzić mu, z poleceniem zawiadomienia go o tegoż zbliżaniu się do własnego domu, gdyż w chwili, gdy otrzymał zawiadomienie powyższe komitetu, Felknera nie było już w domu - Kotkowski sam zajął stanowisko w cukierni, po przeciwnej stronie ulicy Freta. Usadził się tak, aby nie zwracając niczyjej uwagi, mógł wciąż obserwować ulicę, pijąc niby to herbatę powoli, paląc papierosy i jedząc ciasta tylko, a natychmiast po ich dostawieniu płacąc. Oczekiwał umówionego poprzednio od towarzyszy znaku, zawiadomającego go o zbliżaniu się delinkwenta.

Zaczęło się zmierzchać, gdy ujrzał umówiony znak. Opuścił więc najspokojniej cukiernię udając się naprzeciwko skazańca. Gdy odebrał drugi znak, że Felkner jest już blisko, wrócił z powrotem tym samym trotoarem, ku jego domowi powoli bardzo postępując.

Przed głównym szpiegiem postępował po cywilnemu przebrany uzbrojony szpicel policyjny, i minął się z nim. Przeszedł obok niego i główny carski wyżeł, podpierający się sławną swą laską. Minął go i postępujący za tymże zwierzchnikiem drugi przebrany policjant, a zaszło to już bardzo blisko domu Felknera. Kotkowski tuż postępował za drugim policjantem. Za ledwie więc Felkner skręcił do bramy własnej, w ślad za nim poszedł.

Zmrok zapadał.

Brama jak zawsze zamknięta a tylko mająca furtkę otwartą, przy wąskim dziedzińcu domu, była prawie zupełnie ciemną, z czego znów korzystając, ścigający, pchnął skazańca z tyłu tak silnie i trafnie pod łopatkę, że sztylet jego przebił od razu; a szpieg zamordowany, wydawszy tylko bardzo słaby jęk, zagłuszony przez drwali za drugą bramą piłujących i rąbiących w dziedzińcu drzewo, padł trupem przy progu własnego mieszkania.

Kotkowski zaś uchwycił jego laskę, i jak gdyby się nic nie stało, wyszedł z bramy na ulicę, w której, jako zawsze wielce ożywionej, zmieszał się niespostrzeżony z tłumem przechodzących i znikł w tymże, wydawszy rozkaz równegoż zniknięcia swym towarzyszom. Laska naj wierniejszego przyjaciela carskiego została odstawioną natychmiast we wskazane miejsce.

Sługa Felknera, niedługo po wypadku wychodząc po coś do sieni, przewróciła się na trupie swego pana, klnąc na czem świat stoi, jakiegoś jak sądziła pijaka; wróciła się do domu po światło i tu dopiero poznała straszną prawdę; ale wykonawcy wyroku już byli

⁵⁰ R. Pietrzykowski, (*Dionizy Czachowski 1810-1863*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1983, s.156-157) ogranicza się do skrótego opisu sądu nad Celińskim i Kotkowskim.

daleko.

Podobno, pierwszy z piszących, na jaw wykonawcę słynnego w swoim czasie wyroku na Felknerze na całą Europę podałem.

Kotkowski był to młody pracownik, dziecię Warszawy, nadewszystko miłujący ojczyznę.

Kotkowski i Celiński dostali się do niewoli, a dzięki tajemnicy zachowanej, poszli tylko na Sybir. Oni to dwaj, obok Szaramowicza, byli głównymi sprawcami buntu nad Bajkałem, za co zostali rozstrzelani⁵¹. Takichto młodzieńców szlachetnych i bohaterskich o włos nie stracili własni rodacy, i to patrioci! - Nauka to straszna jak trzeba być wstrzemięźliwym z wyrokami na własnych spółtowarzyszy pracy.

Za tę krzywdę mimowolną, niechże tu pozostanie wieczna cześć ich pamięci!

Jeszcze za ciemna, dnia 1 kwietnia rano, a była to wielka sobota przed świętami wielkanocnymi według starego kalendarza, gdy pożywieni przez gościnnych włościan, wymaszerowaliśmy z powrotem do puszczy.

W przemarszu znowu połączyliśmy się z oddziałem Kononowicza i Grelińskiego oraz kawalerją naszą, która z pościgu za Moskwą powróciła a sformowała wspólną kolumnę; przez Pasztową Wolę, Iłżę, Krzyżanowice, Skaryszew, traktem bitym wprost ku Radomiu pomaszerowaliśmy. Poprzednio postaraliśmy się rozgłosić, przez jadących ku rzeczonemu miastu podróżnych, że Czachowski na czele wielu tysięcy powstańców, dobrze uzbrojonych i wyćwiczonych w puszczy Iłżeckiej, wystąpił z niej i idzie na Radom, dla zdobycia takowego.

Kawalerja nasza podzielona została na pięć części, z których jedna maszerowała prosto traktem jako nasza awangarda; druga, maszerowała z prawego jej boku; 3 i 4, debuszowały z lewej jej strony. Każda też niby oddzielna, a wszystkie razem 4 stanowiąc prawie jedną linią prostą, tylko z dużymi odstępami, formowały naszą linię kawaleryjską w szyku bojowym. 5 zaś postępowała jako nasza arjergarda i rezerwa.

Szliśmy weseli i rześwi jakby na jaką zabawę, ze śpiewami patriotycznymi. Czachowski, zwyczajem swoim, galopował wciąż od awangardy do arjergardy długiej naszej kolumny. Ludność okoliczna wysypywała się z wsi i miasteczek, nietylko przez które przeciągaliśmy, ale i bliższych, obok traktu leżących, witając nas z entuzjazmem okrzykami:

- Witajcie bracia! Witajcie waleczni! Niech żyje Polska! Niech żyje ojczyzna!

- Niech żyją wolni, nasi bracia! - my znów w zamian odpowiadaliśmy.

Witaniom, żegnaniom, uściskom naszych dłoni, podczas całego tego marszu, końca nie było, choć nigdzie nie przystanęliśmy ani na chwilę, wprost naprzód wciąż dążąc. Furgony nasze, przez witający nas serdecznie lud, napełnione zostały różną żywnością.

Cwałujący w tym marszu Czachowski był celem dziecięcego przywiązania objawów tłumy, który go jak świętego czy króla swego okrzykiwał i cześć okazywał.

Było już dobrze po południu, gdyśmy idąc w awangardzie, ujrzeli wznoszący się przed nami Radom. Postępowaliśmy do niego od południo-wschodu.

Przed rozwiniętą w długą, jedną linię, na lewo od traktu, a znacznie naprzód od nas kręcąca się i maszerująca a rzadkie strzały ze swej broni myśliwskiej posyłająca nasza

⁵¹ Drażkiewicz się nie myli. Głównymi inicjatorami powstania zabajkalskiego byli właśnie: Władysław Kotkowski (1841 – 1866), Narcyz Celiński (1817-1866) i Gustaw Szaramowicz (1839-1866), którzy zostali rozstrzelani. Por.: *Wystąpienie polskich katorżników na trakcie około bajkalskim. Cztery relacje*. Do druku przygotowała A. Brus i W. Śliwowska, Warszawa 2007.

kawalerja, spędziła za mury miasta, stojące na zewnątrz tegoż, placówki i wedety moskiewskie.

Zbliżywszy się do wsi D., własności rodziny: Aślanowiczów, będącej o niecałe wiorst cztery od miasta, dostaliśmy rozkaz zejść z traktu na pola, w prawo, i maszerować wprost na północ. Kolumna nasza była dość rozwleczone a teraz otrzymaliśmy rozkaz, jeszcze więcej ją przedłużyć.

Defilując tak przed mieszkańcami miasta i załogą, czoło kolumny doszło traktu bitego z Radomia do Lublina. Kawalerja nasza, dotąd manewrująca głównie na polach od południa miasta, przerzuciła się na wschodnią stronę, pomiędzy nas a miasto. Gdyśmy przeszli trakt Lubelski w poprzek, mniej niż o wiorst 3 od miasta, i dążyliśmy trochę skośnie w północnozachodnim kierunku, po pod wsią Gołębiowem, doszliśmy znów traktu z Radomia do Kozienic, nie o całe dwie wiorsty od Radomia. Kawalerja nasza, wciąż głównie dotąd manewrująca z lewego naszego boku, zaczęła na raz się formować niby do ataku ulic przyległych.

Przeszliśmy następnie i trakt Kozieniecki w poprzek; maszerując ornemi polami, zwróciliśmy na północny zachód i pomiędzy Radomiem, za ledwie o kilkaset kroków od jego koszar wojskowych, a dworem w Gołębiowie, przeszedłszy po przed jego ogrodami - skręciliśmy teraz zupełnie na zachód, i tuż zaraz po za samymi magazynami wojskowymi a od których straż wojskowe zbiegły, weszliśmy na trakt Warszawski, na północny zachód, za ledwie o wiorstę od koszar, na tej stronie Radomia, a tuż poza jego kamienicami pobudowanych. Kawalerja nasza, teraz z lewego naszego boku, przerzuciła się również na północną stronę miasta, i pomiędzy koszarami a nami postępowała. Gdyśmy zaś wyszli na trakt Warszawski, to zwróciliśmy się do Radomia, a doszedłszy do rzeki Mlecznej, poszliśmy w prawo polami, po prawym jej brzegu, na północny wschód, za jej biegiem.

Podczas opisanej naszej kilkugodzinnej demonstracji wyzywającej, oprócz zmykających naprzód gromadek nieprzyjaciela i pojedynczych jego strzałów alarmowych, więcejśmy go nie widzieli, ani żadnej szkody od niego nie ponieśliśmy; schował się przed nami haniebnie po za murami miasta, i to nawet nosa w obec nas nie wychylił, a przecież załoga jego w ówczas przeszło 6000 żołnierzy i 12 dział liczyła. Oto waleczność moskiewska.

Słyszeliśmy tylko wewnątrz miasta ciągłe bębnienie i granie rogów, zapędzających Moskali z jednego końca miasta na drugi, w miarę posuwania się naszego; ale choć byli pięciu na jednego, nie śmieli zejść w oczy polskiemu wojsku zaimprovizowanemu... Tylko z okien górnych pięter i ich balkonów tej naszej demonstracji się przypatrywali.

Mieszkańcy zachowali się najspokojniej, bo taki dostali rozkaz od naszej organizacji.

Bitwy więc nie było.

Mimo to, ta bezkrwawa demonstracja zbrojna, dużo nam dobrego zrobiła.

Przedstawiwszy bowiem wrogowi przesadnie nasze siły, jako niby tylko samego jednego Czachowskiego, gdy wiedział dobrze od szpiegów, że inne oddziały jeszcze po województwie się uwijają, tak śmiałem i tak blizkiem podsunięciem się, i to w biały dzień, pod samą załogą główną i najsilniejszą w województwie - rzuciliśmy trwogę i zmusili go do oględniejszego postępowania z mieszkańcami. Nadto budziliśmy na nowo przygaszony przez Langiewicza zapal, dla sprawy wyzwolenia narodu z barbarzyńskiej, upadającej niewoli i powoływaliśmy do wytrwałości, cierpliwości i nie zrażania się

chwilowemi przeciwnościami losu.

W żołnierzach zaś powstańczych, to schowanie się tak liczego wroga za mury miasta, obudziło niezwykły zapał i wiarę we własne siły; udowodniło im dotykalnie, że choć tworzymy osobne oddziały, jednakże gdy jednocześnie i zgodnie a roztropnie razem, przeciw wrogowi zawsze działać będziemy - to w końcu, wyćwiczywszy się w sztuce wojskowej i uzbroiwszy się dokładnie a ciągle wzrastając w siły przez napływ nowych do nas ochotników, ostatecznie możemy liczyć na zwycięstwo nad nim i wygnanie go z ziemi ojczystej.

Wracam teraz do dalszego naszego marszu.

W miarę oddalenia się naszego od traktu Warszawskiego, kolumna nasza, coraz więcej się skracala, powracała do zwykłego marszowego szyku. Zmrokiem już, mineliśmy po lewym brzegu połączonych z sobą rzek Radomki i Mlecznej wieś Goryń a idąc dalej w ciemnościach, znikliśmy w Bobrowickich lasach.

Wkroczywszy do nich, skierowaliśmy się raptem na południowy wschód, i wciąż puszcza maszerując, o godzinie 11 w nocy, weszliśmy do patryjotycznej wsi Jedlni.

Obstawiliśmy się należycie wedetami i rozesłanymi podjazdami, parę godzin w niej odpoczywaliśmy.

Tutaj policjant z Radomia, o którym pod dniem piątym pisałem, zaniósł do Czachowskiego prośbę, aby go puścił na urlop, do tego miasta.

Starego wodza prośba ta, podejrzanego już ochotnika ze złą przeszłością, po paru dniach zaledwie jego pobytu w oddziale, i do tego w punkcie o mil dwie tylko od rzezonego miasta odległym, wielce zastanowiła. Odmówił tego urlopu. W dodatku do spełnianej nad nim obserwacji, zarządził znaczne obostrzenia.

Kawalerja nasza, pozostała w połowie w okolicy bliskiej Radomia, kręcąc się wciąż, z rozkazem alarmowania ciągłego z różnych stron Moskali, tak w dzień jak i w nocy, a to przez całe natępne dwa dni, z tą tylko odmianą, że co dzień część jej będzie wracać do nas, do obozu wspólnego, aby takowy nie został ogołocony zupełnie z możliwości prowadzenia służby forpocztowej.

Gdyby jednak ujrzała, że wróg z przeważnymi siłami z Radomia przeciwko niej wystąpi, to miała się natychmiast plutonami lasami i drogami ukrytymi ku nam się cofać

Dobrze już po północy, w dniu 9 kwietnia, wyruszyliśmy z Jedlni do puszczy, dążąc wciąż w południowo wschodnim kierunku. Był dzień, gdy wyszedłszy pod leżącą w puszczy wieś Czarną, niedaleko miasta Zwolenia, skrzyżowaliśmy się z oddziałem Jankowskiego⁵², naczelnika wojennego powiatu Stanisławowskiego, na prawym brzegu Wisły a do województwa Mazowieckiego należącego. Ten ścigany przeważną siłą moskiewską, przeprawił się przez Wisłę i ukrył w puszczy Kozienieckiej swój oddział; tu na nowo go reorganizował, i siłami naszego województwa wzmocnił, zmieniając wciąż swe stanowiska.

Oddziały nasze, nie zatrzymując się wcale, oddały sobie wzajemnie honory wojskowe. Dowódcy tylko podjechali do siebie, i salutując się wzajemnie, parę słów ze sobą zamienili. My zaś, dostrzegłszy w spotkanym oddziale wielu znajomych z naszego województwa a nawet z Radomia i okolicy, ręką tylko pościliśmy sobie nawzajem pozdrowienia.

⁵² Józef Jankowski na czele swego oddziału prowadził działania zbrojne w województwie mazowieckim, podlaskim, lubelskim i sporadycznie zapuszczając się w województwo sandomierskie, w głąb Puszczy Kozienieckiej.

Po półtorgodzinnym marszu wyszliśmy z lasów, pod Zwoleń, z którego moskiewska jego załoga na samą tylko wieść o zbliżaniu się naszym - zemknęła, uchodząc z trwogą pospiesznie na prawy brzeg Wisły, do Puław, w województwo Lubelskie.

Przekonawszy się dokładnie o tem, przededefilowaliśmy znów mocno rozciągniętą kolumną polami, po pod samem miastem na zachód, i przekroczywszy trakt bity z Radomia do Puław, poszliśmy dalej w kierunku południowym, przeważnie samemi polami.

W marszu dalszym z powiatu Radomskiego weszliśmy w Sandomierski. Czachowski wysłał znaczną część kawalerji tej, która z nami maszerowała, z rozkazem rozgłaszania wiadomości o jego zbliżaniu się, dla ataku na moskiewskie załogi: Solca, Zawichosta, Sandomierza i Opatowa. Przeszedłszy kawał drogi Sandomierskiem, zwróciliśmy znów w prawo, i maszerując teraz ku południowemu zachodowi, obok różnych wsi i miasteczek powiatu Opatowskiego, przeszliśmy następnie na zachód i południe polami od Sienna, i na chwilę znikliśmy znów w puszczy Iłżeckiej, w której skręciwszy raptownie w lewo, poszliśmy na wschód. Późnym a ciemnym wieczorem zajęliśmy miasteczko, zduńskie przeważnie, Danków⁵³, bardzo obszerny rynek mające, a w powiecie Opatowskim leżące.

Gdyśmy w tym dniu przez pola maszerowali, kapitan Dobrogojski, zaczął najprzód ze swoją kompanją praktyczny wykład formowania bez zatrzymania się z dwójek czyli rot, czwórek, sekcji półplutonów, plutonów itd.

Stosunkowo bardzo szybko pojęliśmy i wykonywaliśmy dokładnie komendę uwielbianą przez nas Grzmota.

Ujrzawszy rezultat ten, Czachowski, zażądał od niego, aby to czynił i z innemi kompanjami całej kolumny.

Najtepiej pojmowali i wykonywali komendę kosynjerzy. Ale zapał patrijotyczny tak wielki panował pomiędzy powstańcami, i tak wszyscy rozumieli konieczność posiadania choćby szkoły rekruta, że pod wieczór, gdyśmy się zbliżyli do puszczy Iłżeckiej, już i kosynjerzy jako tako komendę wykonywali.

Jak zaś wielką czuliśmy sami potrzebę dokładnego przyswojenia sobie znajomości musztry i wiedzy wojskowej i z jakim zamiłowaniem usiłowaliśmy je osiąść, niechaj służy za dowód, że oto chociaż cały dzień, bez odpoczynku i pożywienia musztrowaliśmy się, ani głodu ani pragnienia, ani co najmniej znużenia nie czuliśmy.

Za to, zajmawszy kwatery w Dankowie⁵⁴, gdy patrijotyczna i zamożna ludność jego uraczyła nas swemi prostemi, ale zdrowemi potrawami obficie, a na wygodnej, pod dachem i w ciepłe, prostej ze słomy i siana okrytych prześcieradłami i poduszkami pościeli, pod osłoną silnych wedet i podjazdów, ułożyliśmy się zawsze z bronią w rękę do snu - to wydawało nam się, po sypianiu na śniegach, grudzie, deszczu i błocie, żeśmy się do rajy dostali.

Równy ze świtem, 10 kwietnia, wysypaliśmy się na rynek miasteczka. A gdy Czachowski otrzymał pomyślne wiadomości, że pomniejsze załogi moskiewskie na samą wieść o zbliżaniu się jego, pospiesznie a trwożliwie opuściły zajmowane przez się miasta, uchodząc ku silniejszym, i nawet złączywszy się z niemi, nie śmia nosa wychylić poza obręb budynków przez siebie zajętych - postanowił przeto przedniować w Dankowie.

⁵³ Prawidłowo Denków. Dziś przedmieście Ostrowca Świętokrzyskiego.

⁵⁴ Zob przypis wyżej.

Kawalerja nasza dopełniała przy tem wiernie dany jej rozkaz, ciągłego przez dni parę niepokojenia Moskali. My zaś, uzyskawszy wolny, spokojny a odpowiedni plac do musztry - oddaliśmy się jej z całym zapałem, zwłaszcza pokrzepieni wielce jak nadmienilem na siłach.

Ustawiono nas kompanjami na rynku, i rozpoczęto musztrę na komendę dowódców, pod okiem stojących na środku trzech głównych naczelników oddziałów; głównie jednak pod kierunkiem Dobrogojskiego, jako wspólnego naszego instruktora. Następnie kompanje wykonywały swe marsze i kontrmarsze; formowały fronty na wszystkie strony, i powtarzały musztrę w dniu wczorajszym w marszu wykonywaną.

Gdy i to już dość dokładnie a pospiesznie wykonywały, kapitan Grzmot, rozpoczął naukę formowania dywizjonów, a wkrótce przeszedł z tych do tworzenia bataljonów.

Przed południem zaś samym, stworzywszy z nas jedno wielkie kare, konno, donośnym swym głosem zaczął komenderować wspólne robienie bronią całego oddziału.

Powstańcy, przy jego jasnej a dobitnej komendzie, po paru powtórzeniach, robili już następnie bronią jak starzy żołnierze. Dowódcom oddziału i jemu a niemniej otaczającym nas i przypatrującym się temu mieszkańcom, tryskała z oczu radość z naszych w musztrze postępów; nam zaś serca rosły i pewności oraz wiary w samych siebie przybywało. Widząc to Grzmot, zakomenderował nareszcie:

- Broń do nogi! spocznij w miejscu!

Dowódcy teraz złożyli mu szczere podziękowanie za naukę i pracę a nam pozwolono rozejść się na godzinę, na oczekujący nas u mieszkańców obiad.

Po upływie godziny, staliśmy znowu uszykowani kompanjami na placu.

Teraz Grzmot przystąpił do wykładu musztry tyraljerskiej; najprzód w pojedynczych kampanjach, a następnie w dywizjonach i bataljonach.

Z początku robiliśmy na ustną komendę, potem doręczył oficerom małe kościane świstawki do sygnałów, które były jednakowemi z sygnałami moskiewskimi - tylko posiadały tę różnicę, że czem się sygnał moskiewski zaczynał, tern się u nas kończył, a były przy tem znacznie szybsze od moskiewskich.

Gdy ujrzał, że sygnałów tych wyuczyliliśmy się, dopiero sam tyraljerską musztrę na sygnały zaczął pokazywać. Potem przystąpił do nauki zasłaniania się bronią pojedynczego, w tyraljerce, przed atakiem kawalerji i piechoty.

Bóg nam zesłał dzień pogodny i ciepły, słońce przyświecało jasno; wiara przeto przyjmując naukę gorliwie i pilnie, nie czuła znużenia, choć się miało już dobrze ku zachodowi.

Na zakończenie, rozentuzjasmowany nasz instruktor, na cały głos wyrzekł do Czachowskiego:

- Ojcze! proszę cię, daruj mi drugi dzień takiej sposobności, a ręczę ci, że żołnierze nasi, będą dokładniej znali musztrę i lepiej manewrowali niż starzy moskiewscy.

Już się zmierzchno, gdy zakończyliśmy musztrę. Sformowaliśmy znowu kare, kapelan oddziału w komży i stule wszedł do środka jej z krzyżem i kropidłem a na komendę przyklękawszy i odkrywwszy głowy, odmówiliśmy i prześpiewaliśmy nasze wieczorne modlitwy oraz religijnopatriotyczne pieśni, tak jak to co dnia w obozie czyniliśmy i kończyliśmy każdy dzień.

Modłom tym i śpiewom towarzyszyła cała prawie miejscowa ludność, z którą powróciliśmy na kwatery, również gościnnie jak wczoraj podejmowani.

Gdy wróg z żadnej ze swych załóg jeszcze się nie wychylił, przeto ranek szary,

dnia 14 kwietnia, znów ujrzał już nas zgromadzonych w rynku, a po odbytem rannem, zwyczajnem nabożeństwie, rozpoczynających na nowo musztrę.

Wieczorem, dnia tego, wymaszerowaliśmy z Dankowa do puszczy Hżeckiej.

Oddaliwszy się znacznie od miasta, w ciemności, stosownie do Czachowskiego poleceń, Greliński wraz z swym oddziałem podążył dalej na zachód, do puszczy, a Kononowicz na północno-zachód, w lasy Czerwonowolskie ; my zaś zwróciliśmy się w lewo, a kołując w oddali, poszliśmy y nareszcie samemi polami na wschód, i około godziny 11 w nocy założyliśmy obozowisko bez ognia na pochyłości jakichś wzniesionych pól, po nad rzeką Kamienną w powiecie już Sandomierskim, w miejscowości Stoki zwanej, do dóbr Piątkowic należącej, żadnego budynku w pobliżu nie posiadającej. Obstawiliśmy się silnie wedetami i podjazdami, znużeni musztrą i marszem, mimo zimnej bardzo nocy, w której się ziemia i murawa silnym szronem pokryła, ułożyliśmy się do snu, a pomimo parzącej od mrozu mocno w dłonie broni, którą zwyczajem naszym, musieliśmy spiąc w rękę trzymać, przespaliśmy się dobrze.

Równy z rankiem, 13 kwietnia, staliśmy już wszyscy pod bronią. Słońce się ukazało. Wykąpaliśmy się w rzece Kamienicy z brudów i owadów a orzeźwieni, pomaszerowaliśmy samemi polami na północ, mijając lisiemi naszymi zwrotami różne wsie i miasteczko Sienna, aż na koniec zniknęliśmy w lasach około Czerwonej woli i ostatecznie obozem tam stanęliśmy, pod samym dworem Czerwonowolskim, gdzie spożyliśmy ugotowany dla nas obfity obiad.

Staliśmy tu kilka godzin. Czachowski otrzymał zawiadomienie, że oddział pod dowództwem majora Łopackiego⁵⁵, byłego kapitana armji austriackiej, który z Tarnowskiego przez Wisłę wkroczył do Królestwa niedawno, dąży do niego. Gdy nasza szpica kawaleryjska wysunęła się z lasów, drogą do Ciecierówki, major Greliński, który z oddziałem swym podprowadzał oddział Galicyjski do nas, wraz z majorem Łopackim poskoczyli konno naprzeciw cwałującego jak zwykle Czachowskiego, i przedstawił nowego dowódcę, którego nasz wódz powitał serdecznie.

Nie przerywając naszego marszu, weszliśmy do Ciecierówki, wzdłuż której stały uszykowane prezentując broń i witające nas okrzykiem: - «Niech żyją waleczni!» - rzeczone wyżej, dwa oddziały.

Odpowiedzieliśmy - «niech żyją nasi bracia!»

Prawdziwie zażenowałem się, gdym porównał jednostajne, praktyczne umundorowanie i dość dobre uzbrojenie powyższych oddziałów, ze stanem obdartego zupełnie i prawie do połowy bosego naszego oddziału, lichy uzbrojonego; brawura tylko nas uratowała.

Oddział Galicyjski był umundorowany jednostajnie: w sukmanki i szarawary karowe, w juchtowe buty wykładane, rogatywki czarne z daszkami, tornistry a na tych menażki. Pasy, ładownice i broń bagnetową, miał w części belgijską, przeważnie zaś starą wybrakowaną Austrjacką, z lichego materiału robioną; lada bowiem kropla deszczu ją rdzawiła, a lada zawadzenie bagnetu o drzewo, zginało go jak by był ołowiany; a gdy go chciano odprostować, kruszył się i odłamywał natychmiast. Oddział Łopackiego składał się: ze 160 piechoty, 60 kosynjerów, 30 kawalerzystów; 250 ludzi razem.

⁵⁵ Oddział mjr. Andrzeja Łopackiego był organizowany w Chorzelowie (Galicja) majątku hrabiego Jana Tarnowskiego. Oddział podporządkował się natychmiast Czachowskiemu jako naczelnikowi sił zbrojnych w województwie sandomierskim.

Oficerami jego wówczas byli: 1 major Łopacki; 2 kapitan Markowski⁵⁶, były podpułkownik wojsk tureckich; 3 kapitan Witold Rogójski⁵⁷, b. oficer inżynierji Austrjackiej i właściciel dóbr w Galicji; 4 kapitan Aleksander Brückman, b. oficer Austrjacki; 5 kapitan, Wójkim przez nich nazwany⁵⁸; 6 rotmistrz Bertholdi⁵⁹, oficer kawalerii Austrjackiej; 7 Olszewski⁶⁰; 8 Brückman, drugi brat powyższego; 9 kapitan Tabaczyński, z wojsk Amerykańskich; 10 oficer Tabaczyński, brat powyższego; 11 Gąsiorzewski⁶¹, adjutant Łopackiego, a następnie chwilowo Czachowskiego.

Nie zatrzymując się, maszerowaliśmy w awangardzie rzeczonych oddziałów, które z nami złączyły się w jedną kolumnę, i wieczorem zajęliśmy na nocne leże miasteczko Grabowiec.

Oddziały do nas przybyłe, rozkwaterowane zostały w mieście. Oddział zaś Czachowskiego stanął pod gołym niebem, i wziął na siebie całą służbę obozową.

Wódz miał wiadomość, że Moskale wyruszyli już znów: z Radomia, Opatowa, Staszowa, i ciągną koncentrycznie na nas.

Dobrogojskiemu, z kompanią Czachowskiego, wskazano do zajęcia na noc obmurowany cmentarz, przy kościele parafialnym, na zewnątrz Grabowca, od strony północno wschodniej jego leżący.

Wiatr zimny, bardzo przenikliwy, zaczął dąć silnie, i mocno Dam dokuczać, a tu ognia niepodobna było rozpaść w tym miejscu, albowiem tej nocy wszędzie go rozkładać zakazano. Wystarałem się o dwa snopki słomy, i zasłoniwszy się murem, od strony wiatru, rozłożyłem je pod tymże, i z Grzmotem, wzięwszy pomiędzy siebie dzieciaka powstańca, niejakiego Edwarda, mogącego 14 lat dopiero liczyć, ułożyliśmy się do snu, obstawiwszy się strażą.

Edward powyższy, nigdy nie chciał wymówić swego nazwiska. Przybył on do oddziału Kurowskiego⁶² jeszcze, uciekający od jakiejś ciotki z Krakowa, której nazwiska również wymienił nigdy nie chciał. Żalił się tylko bardzo, na złe obchodzenie jej ze sobą. Miała w rzeczonym mieście utrzymywać jakiś pensjonat. Do nas przeszedł jako spuścizna po Langiewiczzu. Bawił nas swoją rezolucją i od wagą nad swój wiek. Litując się nad nim, zawsześmy go brali pomiędzy siebie; gdy przyszło o nakarmienie i ochronienie od zgubnych wpływów, sypiania pod gołym niebem, o każdej porze roku, w naszym zwłaszcza klimacie. Trzymał się on wiernie powstania, przechodząc z oddziału rozproszonego przez Moskale do innego, nowoformującego się w Królestwie, aż też zupełnie znikł mi w zmiennych kolejach ruchu narodowego z lat 1863z oczu zupełnie. Słyszałem tylko od towarzyszy dwie różne warsje o nim.

Jedna utrzymywała, że w pewnej bitwie oddziału Chmielińskiego⁶³ został

⁵⁶ Markowski Jan, walczył jeszcze pod rozkazami Bosaka, dowodząc dywizją sandomierską. Schodził z placu boju jako jeden z ostatnich.

⁵⁷ R. Pietrzykowski, (*dz. cyt.*, s. 165 i inn.) zmienia pisownię Witolda Rogójskiego na Rogojski.

⁵⁸ Pseudonim *Wujek* nosił kpt. Kisielewski.

⁵⁹ Bertholdi R. Pietrzykowski (*dz. cyt.* s. 165 i inn.) zmienia pisownię na Bertoli.

⁶⁰ Chodzi o kpt. Konstantego Olszewskiego.

⁶¹ Mylnie. Chodzi o porucznika Gąsiorowskiego.

⁶² Oddział Apolinarego Kurowskiego, naczelnika wojskowego województwa krakowskiego uległ rozproszeniu bo bitwie pod Miechowem 17 lutego 1863 r.

⁶³ Chodzi o oddział Zygmunta Chmielińskiego operującego w województwie krakowskim od lipca do października 1863 roku, a następnie szefa sztabu u Bosaka. O jego kampanii zbrojnej zob.: W. Caban, *Z dziejów powstania styczniowego w regionie Gór Świętokrzyskich*, Warszawa – Kraków 1989, s.74-180.

rozsiekany przez dragonów; druga zaś, że po upadku powstania wyszedł z Królestwa, dostał się do Węgier, i tam miał o wiele lat później umrzeć.

Zaledwie okryliśmy rzeczzonego dzieciaka, Grzmot częścią swego wojskowego moskiewskiego jeszcze płaszcza, ja zaś połą swej bobrowej algierki, którą na noc brałem zawsze z powrotem z furgonu na którym ją wożono, i ogrzawszy się trochę wzajemnie, zaczęliśmy usypiać, aż tu przypadł adjutant i przyniósł nowy rozkaz wodza.

Grzmot, z dowodzoną przez siebie kompanją, ma udać się na cmentarz, po za miastem już w polu będący, i tam zajmąwszy go, stanowiąc grangardę oddziału; gdyż jest wiadomość, że tej jeszcze nocy pułkownik moskiewski Zwierow⁶⁴ od strony miasteczka Sienna ma nadciągnąć, i na Grabowiec uderzyć. Wystawi przeto ku temuż wedety i czaty. Noc była ciemna nadzwyczajnie. Wiatr coraz silniejszy i mroźniejszy. A. tu rzecz wiadoma, że na grangardzie, nietylko ognia, ale nawet cygara i fajki zapalić, ani spać nie wolno.

Choć ze spuszczeniem jak to mówią nosem na kwintę i kwaśną miną, wysłuchiwała cała kompanja powyższą wiadomość; lecz ani słowem, ani znakiem tego objawić nie wolno było.

Na sygnał, wydany przez Dobrogojskiego, powstała i uszykowała się, i jak niepyszni szukaliśmy po omacku wskazanego nam, nowego stanowiska wśród nocnych ciemności.

Była niemię płaska nizina, niczem i z nikąd nieosłonięta, małym rowkiem tylko okopana.

Wystawiwszy czaty i wedety, choć nie było nam całkiem do smaku stanowisko na cmentarzu, musieliśmy być zadowoleni; bo ułożywszy się na zmarzniętej ziemi mogli, nie jeden z nas przed ostrością mroźnego wiatru północnego mógł się osłaniać cokolwiek jaką świeżo z nich usypaną.

Zmówiwszy modły za duszę zmarłych, każdy z nas wyciągnięty jak struna legł między niemi, żeby dla mogącego się zbliżyć wroga, nie pozostawić żadnego śladu naszego istnienia w tem miejscu, a wszyscy bacznie, wszelki nawet szmer w ciemnościach nocy obserwując.

Po północy byliśmy już, nasza trójka, od zimna skostniali. Zmieniwszy po raz drugi, stojących na wysuniętych wokoło posterunkach, zaczęliśmy z Grzmotem szukać jakiej przed mroźnym wiatrem osłony. Znaleźliśmy drewnianą, lichą i szczupłą kostnicę, całą zasypaną stosem kości ludzkich, przy kopaniu nowych grobów ze starych wydobywanymi, a na środku jej w wielki ostrosłup się wznoszących.

Z początku wdrygnąłem się, po obmacaniu w ciemności rękoma tych kości, ale potem jednak na nich się przespaliśmy.

Nieprzyjaciel się nie zjawił. Nas cofnięto na drogę, przechodzącą po pod murem cmentarza parafjalnego, dnia 16 kwietnia rano.

⁶⁴ Prawidłowo: Zwieriew Paweł.